Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł — 8 stron | Warszawa, 28 września 1952 r. | Nr 39 (131) Rok III

Pozdrowienia z walczącej Korei

Drodzy Polscy Pisarze.

My, literaci koreańscy, obchodząc 2 rocznicę wojny wyzwoleńczej naszego narodu, który mężnie przeciwstawił się agresji wroga całej ludzkości — amerykańskiemu imperializmowi, przesyłamy Wam — pisarzom polskim walczącym o szczęście i pokój świata — płomienne i bojowe pozdrowienie.

Cały naród koreański powstał do walki przeciwko amerykańskim najeźdźcom.

Jesteśmy głęboko przekonani, że nasza walka jest częścią światowej walki o pokój i że znajdujemy się w jej awangardzie. Chociaż ponosimy krwawe ofiary w walce o wolność i niezależność naszej ojczyzny, nigdy nie pozwolimy, aby uczyniono z nas znowu niewolników. Dlatego nasz naród zwycięża wrogów i osiąga wielkie sukcesy zadając przeciwnikowi ogromne straty tak w ludziach jak i w sprzęcie.

Te sukcesy narodu koreańskiego są także rezultatem międzynarodowej solidarności, a szczególnie Waszej aktywnej solidarności z narodem koreańskim.

Chociaż jesteśmy daleko od bliskiego nam świata, lecz słyszymy potężne głosy przyjaźni ze wszystkich stron. Słyszymy odgłos kroków robotników i chłopów, pracujących w fabrykach i na polach dla budowy socjalizmu w Waszym Kraju. Szczególnie bliska jest nam miłość pisarzy polskich broniących również naszej sprawy swoimi utworami.

Drodzy przyjaciele.

Naród koreański własnymi oczami widzi, jak ogromne zniszczenia przynosi wojna.

Amerykańscy imperialiści zburzyli wszystkie nasze piękne miasta i wsie, zabytki naszej kultury, naszej historii — a co najważniejsze — zgładzili miliony istnień ludzkich, lecz nie potrafili rzucić narodu koreańskiego na kolana.

Chcą nas załamać, chwytając się takich środków, jak napalm, gazy trujące, a nawet bomby bakteriologiczne, lecz my mówimy twardo: nic z tego!

Na razie wojna toczy się w Korei, lecz amerykańscy imperialiści chcą ją rozprzestrzenić — może już jutro — na Europę. Usiłowania rozprzestrzenienia wojny czynione przez amerykańskich imperialistów nie mogą być nie rozgromione przez nasze wspólne siły. I póki nie przestanie nam grozić agresja, dopóty będziemy walczyć o pokój.

Pisarze walczącej Korei, od samego początku wojny na froncie i na zapleczu, opisują bohaterski poryw naszego narodu do walki zbrojnej o zwycięstwo. Od ubiegłego roku, od przyłączenia się naszych literatów do apelu Kim Ir-sena, wszystkie swoje siły oddajemy tworzeniu sztuki o bohaterstwie, której potrzebuje naród i staramy się, aby w jego rękach ta nasza sztuka stała się najsilniejszym, najskuteczniejszym orężem rozgromienia najeźdźcy. Aby była natchnieniem naszego narodu.

Przyjaciele.

Przekażcie Waszym słowem Waszemu narodowi z uporem budującemu socjalizm wyrazy uznania od pisarzy koreańskich i gorące serdeczne pozdrowienia. Powtarzając znane hasło obrońców pokoju: „Pokoju nie czekamy — walczymy o niego“ — jeszcze raz mocno ściskamy Wasze dłonie.

ZWIĄZEK PISARZY KOREAŃSKICH KOMITET CENTRALNY

ROMAN BRATNY

Oto „Dein Kampf", stary świecie!

Którejś okupacyjnej nocy obudził mnie pisk opon hamującego samochodu. Na ten przeraźliwy pierwszy alarm, pamiętany przez każdego, kto był w czynnej niezgodzie z okupantem, zerwałem się momentalnie, ale bez normalnej w takich wypadkach jasności myśli. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę z tego, gdzie jestem. Gdy już wyjaśniło się, że nie po mnie adresowany był gestapowski samochód, przypomniałem sobie, że zbudziłem się ze snu, w którym przebywałem na dziwnej ulicy pełnej płaczących ze szczęścia ludzi, pełnej kwiatów. Stałem na niej z moim najbliższym druhem, którego strata powodowała właśnie konieczność ukrywania się w tym obcym lokalu. Ulica była przeniesioną w pamięci sceną z filmu mówiącą o dniu końca pierwszej wojny światowej w Paryżu. Widziałem go przed wojną i, zdawało się, zapomniałem bez reszty.

Tego, jak się ów film nazywał, nie przypomniałem sobie nawet, gdy w dwa lata później, 14 lipca 1945 roku, widziałem taką ulicę na jawie. Francuskie święto narodowe było orgią radości. — Pokój! — wołali do siebie obcy ludzie. Było to jedyne znane mi po francusku słowo. Przepraszałem nim potrącanych w tłumie ludzi, zaprosiłem nim do tańca dziewczynę. Wystarczało, żeby rozumieć się z ludźmi, ale z radością zderzyłem się w tłoku z człowiekiem w mundurze z naszywką „Poland". Po chwili staliśmy w jakimś bistro, trzymając szklanki wina: — Za powrót! — powiedział, podnosząc swoją oficer II korpusu Andersa. Nie byłem tak naiwny, by nie wiedzieć, ale byłem tak szczęśliwy, by nie pamiętać, jaka orientacja przeważa wśród tych ludzi. To, że w pewnej chwili jeden z dwóch rozmawiających, ubranych w mundury mężczyzn pokazał rewolwer, nie wzbudziło żadnej sensacji — ileż strzelano na wiwat w tym dniu radości. Tylko ja rozumiałem, co mówił po polsku: „wojna nie jest skończona".

Nie pamiętam, na którym paryskim placu toczyła się rozmowa. Pamiętam, że gdy wskazałem mu ręką na roztańczony tłum i powiedziałem: „skończyła się!" — on, idąc za moim wzrokiem, spostrzegł jeszcze czerwone chorągwie, których było bodajże więcej niż trójkolorowych i zapytał z grymasem: „to pan jest komunistą?" — Nie byłem wówczas komunistą, ale wiedziałem, że jestem jego wrogiem.

Przedstawiciel obrony w procesie zabójców Martyki mówiąc, że zamachy na obrońców pokoju mają swoją tradycję, wymienił Jauresa. Wówczas przypomniałem sobie, siedząc na ławie prasowej, paryską scenę — przysiągłbym, że było to na Place Jaures.

BROŃ KALIBER 42, 240 I INNE

Kiedy dwa razy pod rząd nie odpalił nabój pistoletu, wymierzonego w tył głowy Stefana Martyki, drugi morderca chwycił go za gardło. Mogła zawieść broń kalibru 9 mm, nie zawiodła inna, poważniejsza. Mój paryski rozmówca też do czasu rozstał się zapewne z pistoletem, tak jak żołnierze jego plutonu czy kompanii opuścili czołgi, wracając do kraju, lub pod jego przewodem idąc na tułaczkę zmywać schody w angielskich pałacach. Jednak ci, którzy w obliczu zachłystujących się wielką wiosną 1945 roku ludów, musieli złożyć broń, nie myśleli rezygnować. Wojna na lądzie, morzu i w powietrzu skończyła się. Hitlerowscy generałowie siedzieli w obozach jeńców. Człowiekowi, który słyszał kanonadę artyleryjską, huk nadciągających eskadr i świst posyłanych na ziemię bomb, nie można było wtłaczać w uszy słowa „wojna".

Zbliżał się czas sądu: Norymberga. Pamiętamy. Pierwszy rząd ławy oskarżonych wstąpił na szubienicę. Ale pamiętajmy: dziesiątki dalszych rzędów z ławy oskarżonych zdołały się już przesiąść na sztabowe i dyrektorskie fotele. Wśród nich był taki „niepozorny" oskarżony Hans Fritsche — kierownik radiowej propagandy Hitlera. W aktach zachowało się votum separatum sędziego radzieckiego przeciw uwolnieniu go od zarzutu zbrodni wojennej. W aktach sprawy zabójców Martyki pozostaną włączone do przemówienia adwokata Maślanki cytaty z mów Adolfa Hitlera, stwierdzające funkcję propagandy, jako narzędzia terroryzowania, ogłupiania i podżegania. W aktach Norymbergi są papiery, które kiedyś wyjdą na stół Wielkiego Apelacyjnego Sądu Narodów. Spojrzą wówczas sędziowie i na dokumenty zwalniające od kary hitlerowskiego „wychowawcę" młodzieży niemieckiej, Baldura von Schirach.

Gdyby dziś proces Martyki miał pełną obsadę w pierwszym rzędzie ławy oskarżonych nie siedzieliby Metzger, Cieślak i inni. Zasłoniłyby ich w pierwszym rzędzie znane fizys amerykańskich podżegaczy, a wśród dalszych dostrzeglibyśmy Fritschego i Baldura von Schirach, który kiedyś powiedział: „Treścią naszego światopoglądu napełnimy najdalszą przyszłość".

Generałów skazywano na więzienie, lecz od razu zwalniano propagandystów. Nowa wojna, czająca się nawet w wyrokach Norymbergi, miała się zacząć od propagandy. Kaliber 9 pistoletu czy karabinu uzupełniły poważniejsze wymiary. „Słuchajcie nas na fali... 42, 240...".

MYŚLI ŚCIĘTEJ GŁOWY

Nie prostą lecz zrozumiałą dla nas drogą Baldur von Schirach, demoralizator niemieckiej młodzieży, zawędrował w drugim roku planu sześcioletniego do Zabrza. Przewodnikiem był taki czy inny Fritsche, wcielony w dyrektora „Głosu Ameryki", spełniającego rolę hitlerowskiego Ordensburgu zdrajców i zaprzańców.

W latach okupacji jakieś pokoje w zajmowanym dziś przez Ministerstwo Oświaty gmachu gestapo przy Alei Szucha nosiły, tak czy inaczej wystylizowany, napis „Komuna" — nie obrażało to komunistów. Nie obraża Polaków, że są gdzieś pokoje w gmachu Głosu Ameryki, na których jest napis „Poland". Co dzień fale psychicznych bakterii walą się w eterze na Polskę.

Warszawa ma rynek, gdzie przekupki sprzedają łachy zagraniczne nasyłane do kraju. Nazywa się je „ciuchami". Otóż istnieją i ciuchy moralne — radio, które nadaje sensacyjne wiadomości o tajemniczej śmierci marszałka Rokossowskiego, czy „dowcipy" o tym, że w Moskwie inżynierowie planują centralne ogrzewanie chodników miasta, by ludność mogła w zimie chodzić boso. W dwa dni potem marszałek Rokossowski przyjmuje defiladę, w miesiąc potem to samo radio bije poważnie na alarm, że masowa produkcja butów w ZSRR świadczy o przygotowaniach do wojny. Nonsensy? — tak. „Niewypały" bakteriologiczne pali zorganizowana antyepidemiczna koreańska służba zdrowia. Za słaby jest jeszcze spalający brednie ogień naszej prasy młodzieżowej! Ogień naszej książki dla młodzieży! Dwudziestoletni chłopcy, którzy przeczytali kilka sensacyjnych powieści, którzy wysłuchali kilkunastu audycji wrogiego radia też myślą. „Myślą" ciuchami intelektualnymi, myślą stereotypami, wtłaczanymi im przez bankrutujące siły. Jakaż to straszliwa doprawdy tragedia, że wychowany w Polsce chłopiec myśli kategoriami, jakie kołaczą po ściętej głowie naszej reakcji.

„Oni są zagazowani" — wołał obrońca. Gaz! Przecinajmy teraz przewody, którymi się sączy! Proces udowodnił, że wejście w najgłębsze podziemie nie ustrzeże nikogo od starcia z powierzchni naszej ziemi. Ci, którzy tam schodzą — zginą. Ale poczucie bezpieczeństwa nie zwalnia nas, pisarzy, od zabiegnięcia drogi, która tam prowadzi, od obalenia kierujących tam drogowskazów. Wielka jest treść naszych dni, ale analfabety nie namówi się do przeczytania najwspanialszej książki. Walka z analfabetyzmem moralnym i politycznym, podpalanie stosu gnijących ciuchów to obowiązek pisarzy.

Mordercom Martyki podawała broń do ręki Metzger, łączniczka dwójkarza Tomaszewskiego. W tym nie ma nic dziwnego, że Tomaszewski i Metzger, ludzie, którzy z akowskich czasów wynieśli wspomnienia hańby gestapowskich kontaktów, dziś próbują repetować starą broń. Tragiczne jest to, że ci, którzy służyli zdradzie wówczas, znaleźli dziś bodaj pojedyncze ręce, w które mogli tę broń złożyć.

Któryś z oskarżonych na pytanie, kto zwerbował go do organizacji, powiedział: „Hubert Cieślak, znacznie ode mnie starszy, ma 25 lat". Ci, dla których „starszym" jest 25-letni chłopak, sięgnęli po broń, by rabować i strzelać w kark. Jeden z nich mówi o tym, że: „mieliśmy mieć zebrania". — Takie jak u Martyki? — pyta prokurator.

Nie ma tu miejsca na litość. Nawet kiedy Metzger ociera ręką łzy, pamiętamy, że to ręka, która dotykała krwi bojownika o pokój. Zbrodnia jest pełnoletnia. Ale to, że „dotknięcie na umyśle" przez wrogą propagandę rodzi bezpośrednio rekrutów zbrodni jest gorzką nauką procesu. Jest zbrodnią wojenną mordowanie dzieci, ale ludobójstwo moralności człowieczej w młodzieży jest zbrodnią równie straszną.

Banda, której wycinek pokazała nam ława oskarżonych, została rozgromiona. Jest niewątpliwym triumfem naszego ustroju, że poza dwójką dwójkarskich inspiratorów, obok bandy bab, eks-obszarniczek i arystokratycznych pracownic ambasady, nie było w tym procesie żadnego, choćby najdalej zabłąkanego człowieka z tej organizacji, w której szeregach przebywał Martyka, szukający kiedyś w AK walki z okupantem, w czasie gdy Tomaszewski i Metzger kontaktowali się z gestapowcami. Po wielekroć przedstawiciele naszego Państwa podkreślali, że masy oszukanych żołnierzy, byłych akowców, nie odpowiadają za zdradziecką politykę dowództwa. Nasz czas był czasem selekcji i w tym środowisku. Szczerzy patrioci znaleźli się na pozycjach Martyki. Tylko dwójkarscy prowokatorzy mogli się znaleźć na pozycjach jego mordercy. To właśnie, obok małości tych 20-letnich moralnych obywateli USA, nie mających immunitetu dyplomatycznego w Polsce, stanowi triumf słusznej polityki naszego państwa, otwierającego przed każdym możność twórczej pracy. Ale trzeba tym mocniej podkreślić, że ludzi tych odebrała narodowi wstrętna, kłamliwa siła. Reprezentantów jej oficjalnych nie było na ławie oskarżonych — oni mają immunitet dyplomatyczny.

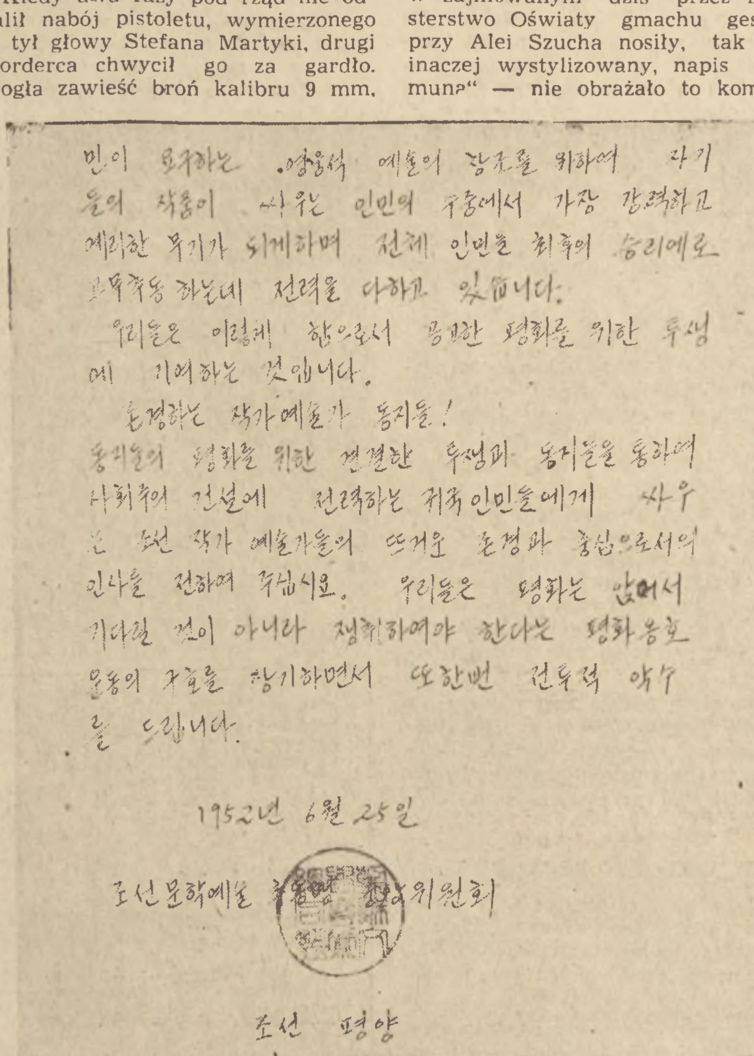
Na procesie pracownica Polskiego Radia Bogusławska mówiła, jak w godzinie, gdy wiadomość o śmierci Martyki dotarła do nich, zgłosili się ochotniczo do fali 49 wszyscy radiowi lektorzy. Mówiła o setkach listów partyjnych i bezpartyjnych obywateli, którzy prosili o próbę głosu, by zastąpić Martykę. Zdali już trudniejszą próbę — charakteru.

I trzeba, by dziś — tak jak wówczas zamach na „falę 49" przewalił się falą gniewu i oburzenia — proces stał się początkiem głębokiej walki z ludobójcami moralności i patriotyzmu. „Martykę zabito nie za to jak mówił, ale za to co mówił", powiedziała przedstawicielka radia. Mówić to co on staje się obowiązkiem każdego — niepotrzebna jest do tego trybuna speakerska. Setki listów do Polskiego Radia zasygnalizowało obecność w terenie setki codziennych speakerów prawdy. — Niechże proces pomnoży ich w dziesiątki i setki tysięcy. Niech walka z tym wrogiem stanie się sprawą osobistą milionów ludzi w naszym kraju. Niech nikt nie dopuszcza, by dotykała jego mózgu ich brudna myśl, która jest myślą ściętych głów naszej reakcji. Przeżyła ona swoją jesień we wrześniu 1939 r. i zdawałoby się, że zaleszczycka droga pochłonęła ją na zawsze. W dwanaście lat później, w tydzień po rocznicy najazdu hitlerowskiego, stary świat próbował znów wrócić. Nazwać zabójstwo jednego człowieka „dalszym ciągiem września", co to, zdawałoby się, za przesada! Pamiętajmy o jednym: tamten świat wojny nie wypowiada Głos Ameryki, to działania wojenne bez wypowiedzenia. Tak jak agresja hitlerowska zaczęła się w powietrzu, tak agresja USA rozpoczęła się w eterze.

NORYMBERGA PRZY ULICY LESZNO

Ci, którym się zdaje, że najbardziej wstrząsające bywają na procesie chwile ujawniania jakichś sensacyjnych szczegółów, są w błędzie. Procedura sądowa przewiduje jedno skromne protokolarne pytanie, czy

Dokończenie na str. 2-ej



민이 요구하는 영웅적 예술의 창조를 위하여 우리
들의 작품이 싸우는 인민의 수중에서 가장 강력하고
예리한 무기가 되게 하며 전체 인민을 최후의 승리에로
고무추동하는데 전력을 다하고 있읍니다.
우리들은 이렇게 함으로서 공고한 평화를 위한 투쟁
에 기여하는 것입니다.
존경하는 작가 예술가 동지들!
동지들의 평화를 위한 견결한 투쟁과 동지들을 통하여
사회주의 건설에 진력하는 귀국 인민들에게 싸우
는 조선 작가 예술가들의 뜨거운 존경과 충심으로서의
인사를 전하여 주십시요. 우리들은 평화는 앉아서
기다릴 것이 아니라 쟁취하여야 한다는 평화옹호
운동의 구호를 상기하면서 또 한번 전투적 악수
를 드립니다.

1952년 6월 25일

조선문학예술 [illegible] 위원회

조선 평양

Fotokopia oryginału listu pisarzy koreańskich do polskich literatów.

Prezydent Rzeczypospolitej Bolesław Bierut wystosował następujące pismo:

Do
Okręgowych Komitetów
Frontu Narodowego

W związku z wysunięciem mojej kandydatury do Sejmu w różnych okręgach wyborczych, dziękuję za okazane mi w ten sposób zaufanie i powiadamiam, że wyraziłem zgodę na kandydowanie w Okręgu Wyborczym m. Warszawy.

BOLESŁAW BIERUT



Rys. Aleksander Kobzdej.

JERZY MILLER

KANDYDAT NARODU

To nie łatwo, nie prosto,
to nie łatwo być Tobą,
stać się ludu miłością,
zdobyć to, coś Ty zdobył.

Trzeba silne mieć dłonie,
wzrok otwarty i śmiały,
myśl gorącą jak płomień,
wolę twardą jak skały.

Trzeba zdawać egzamin
jak Ty, życiem bez skazy,
mocą, której nie złamie
krat ni kajdan żelazo.

Tylko takich lud ceni
z jednej bryły wykutych.
Tylko takich imieniem
zwie kopalnie i huty.

Tylko takim powierza
zdruzgotanie niewoli
i z takimi zwycięża
wszystko to, co nas boli.

I z takimi odkryje
nowe światy wspaniałe,
gdzie by rzeki, zawieje
ludzkich skinięć słuchały.

Niespożyta ich siła
z jednej bryły wykuta.
Słysząc imię Stalina,
słyszę imię Bieruta.

Co pisała prawa ręka Becka?

Począwszy od następnego numeru „Nowa Kultura" będzie zamieszczała szereg fragmentów z „Dziennika" Jana Szembeka, który od 1932 do września 1939 r. był wiceministrem spraw zagranicznych Polski sanacyjnej i najbliższym współpracownikiem Becka.

W związku z tym parę uwag.

Szembek zmarł w Portugalii, w sierpniu 1945 roku. Wiem, że już w następnym roku wdowa po Szembeku prowadziła rozmowy z niektórymi firmami szwajcarskimi w sprawie przekładu i wydania „Dziennika". Leon Noël, który był ambasadorem francuskim w Warszawie od 1935 r. do wybuchu wojny, potem podpisywał kapitulację Francji w Compiègne, w 1940 r., by teraz wylądować w R. P. F. — oświadczył mi w listopadzie 1949 roku, że pracuje nad „Dziennikiem" Szembeka i lada chwila go wyda. Praca ta musiała być dosyć kłopotliwa, skoro trwała jeszcze przeszło dwa lata!

Czy „Dziennik" jest autentyczny? Sądzę, że w zasadzie — tak. Szembek prowadził go w ten sposób, że co dzień z rana dyktował streszczenie rozmów, które odbywał dnia poprzedniego. Ten typ pamiętnika ma, rzecz prosta, większą wartość od pisanych ex post wspomnień z danego okresu, w czym celują dyplomaci francuscy w rodzaju Coulondre'a, François-Poncet czy samego Noela. Czytając takie wspomnienia musimy z wielkim krytycyzmem przyjmować wszystkie oceny autorów — bo zazwyczaj książka taka ma na celu przede wszystkim wybielenie przed historią samego autora. Natomiast pamiętnik, prowadzony z dnia na dzień, ma w zasadzie większą wartość dokumentarną.

Oczywiście i on może być fałszowany, a co najmniej retuszowany, czy redagowany przy pomocy odpowiednich skrótów. Jego wymowa zależna jest od osób, które go opracowują, od ich poglądów politycznych i osobistych interesów.

Kto miał dostęp do „Dziennika"? Przede wszystkim wdowa po Szembeku i jej środowisko — rozbitkowie sanacyjni.

Po drugie Noël, jako redaktor „Dziennika" i autor przedmowy.

Zakładając więc, że w zasadzie „Dziennik" jest autentyczny, musimy pamiętać, że wszelkie retusze, pominięcia, niedomówienia, mogły być czynione tylko przez ludzi, którym zależało na wybieleniu a) sanacji, b) przedwojennych rządów Francji i jej ambasadora w Warszawie.

I właśnie, biorąc to pod uwagę, dochodzę do wniosku, że podstawowy tekst „Dziennika" rzeczywiście pochodzi spod pióra zastępcy Becka. Gdyby bowiem pisano go później, spróbowano by ukryć, zatuszować, usprawiedliwić zbrodniczą i zdradziecką politykę Becka, którą z niezwykłą jaskrawością odtwarza „Dziennik".

No, dobrze, dlaczego więc mimo to „Dziennik" wydano?

Noël wydał, bo dla Bonnetów i Daladierów, a i dla niego samego, jest wygodne ukazać winy Becka i sanacji, to w jego intencji może w jakiejś mierze osłabiać odpowiedzialność francuskich monachijczyków. Przyłapani przestępcy często usiłują się wykręcać zwalaniem winy na wspólnika.

A Szembekowa? Sądzę, że nie bez znaczenia była tu strona materialna. Portugalia dla cudzoziemców nie jest chyba tania. A zresztą... Sławoj przecież z lubością publikował i publikuje zapiski i wspomnienia, które ukazują jego jako głupca, a politykę kliki, do której należał — jako zbrodnię.

Musieliśmy dokonać powtórnego przekładu — z francuskiego na polski. Na szczęście — to nie wiersze, większych kłopotów nie powinno to sprawić.

Postaramy się ograniczyć nasz komentarz do minimum. Jest to możliwe ze względu na niezwykłą wymowę samego materiału. Niech czytelnik sam komentuje te zaspiski beckowskiego pomocnika swoimi losami osobistymi, niech doszukuje się w „Dzienniku" początków i źródeł katastrofy, która wywróciła jego życie, która przyniosła mu sześć blisko lat najkrwawszej niewoli.

Jerzy Putrament

Oto „Dein Kampf", stary świecie!

Ciąg dalszy ze str. 1-szej

zeznająca jako świadek osoba jest „w stosunku do ławy oskarżonych obca?". Moment, gdy pytanie takie pada wobec matki zamordowanego, siwej, drobnej staruszki, która do miejsca, skąd składa się zeznania podchodzi z głową konwulsyjnie wykręconą w bok, by nie otrzeć się o morderców nawet jednym spojrzeniem, moment ten jest tak straszny, że zadający takie pytanie oficer korpusu sądowego scisza wstydliwie głos.

Na to samo proceduralne pytanie odpowiadali liczni przedstawiciele polskiej inteligencji twórczej zeznający na sądowej sali.

„Ciężko jest patrzeć w twarze morderców, ciężko, ale dobrze" — powiedział na sali ktoś, określając ich jako łańcuszkowych działaczy Trumana. Tak, miał rację ten, kto, by zrozumieć wymowę tej sprawy, otwarł „Mein Kampf" Hitlera. Tak — tam walka starego świata otrzymała swoje obowiązujące po dziś dzień prawidła.

Oto „Dein Kampf" stary świecie! — Ci, siedzący na ławie hańby, opryszkowie. Ludzie ci zabili szlachetnego człowieka za to, że służył sprawie obrony przed śmiercią. „Niech serca wszystkich matek osądzą morderców mojego syna" — powiedziała matka. Niech osądzą.

„Zabili go, by artyści choć w części uskromnili swój impet, — powiedział Zelwerowicz. — Zniszczyli szczęście bliskich mu osób. A szczęścia tak łatwo się nie znajduje", powtórzył stary mistrz sceny. Tak. Nie znajduje się go łatwo, a broni się go do ostatka. Bronił go zamordowany. Broni go wyrok naszego sądu.

Generał Eisenhower w którymś ze swoich wojennych przemówień wspomniał, że celem polityki amerykańskiej jest utrzymywanie w krajach demokracji ludowej „stanu otwartej rany".

Jeśli pomyślisz, czytelniku, wraz ze mną o tym, że gdy w roku 1945 andersowski odwetowiec na placu imienia poległego bojownika o pokój w Paryżu rzucił słowa o nowej wojnie, najmłodszy ze zbrodniarzy miał lat 13, mała salka na Lesznie urośnie w twych oczach do Norymbergi, w której sądzimy nie tylko bezpośrednich morderców, ale i ich ludobójczych inspiratorów. Wyroku tego nie wolno zapomnieć. Stanowić on będzie załącznik do wielkiej sprawy.

Roman Bratny

ZEBRANIE PRZEDWYBORCZE LITERATÓW

W ubiegły czwartek, dnia 18 września 1952 roku, odbyło się Walne Zebranie Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich. Na porządku dziennym tego zebrania stanęły sprawy bardzo ważne, żywo obchodzące społeczność literacką: wysunięcie kandydatów na posłów do Sejmu Ustawodawczego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, omówienie zadań pisarza w kampanii przedwyborczej, oraz wybory Komitetu Frontu Narodowego przy Oddziale Warszawskim Z.L.P.

Licznie zebrani pisarze wśród owacji wysunęli następujące kandydatury na posłów z warszawskiego okręgu wyborczego: Bolesława Bieruta, Konstantego Rokossowskiego, Jakuba Bermana, Franciszka Fiedlera i Jana Dembowskiego.

W dyskusji m. in. zabrali głos Jarosław Iwaszkiewicz i Arnold Słucki omawiając poszczególne kandydatury. Mówcy podkreślali nowy charakter wyborów polegający m. in. na słusznym i demokratycznym sposobie wysuwania kandydatów, reprezentantów narodu. Oddziałowi Warszawskiemu Związku Literatów Polskich przypadł w udziale wielki zaszczyt wysunięcia kandydatur ludzi najbardziej zasłużonych w budowie Polski Socjalistycznej.

Następnie zabrał głos pisarz katolicki, Jan Dobraczyński, który stwierdził, że Front Narodowy nie jest czczą formułą, nie jest chwytem agitacyjnym. W obliczu odradzającego się faszyzmu, wobec groźby nowej wojny, którą przygotowuje imperializm, Front Narodowy ma szersze znaczenie, znaczenie reprezentanta jedności narodu nie tylko w wyborach, ale i w olbrzymim wysiłku dla odbudowy i rozbudowy ojczyzny.

Na zastępcę posła z okręgu warszawskiego literaci wysunęli kandydaturę młodego pisarza, Bohdana Czeszkę, autora wyróżnionej w tym roku Nagrodą Państwową książki „Pokolenie".

Bohdan Czeszko, dziękując za zaszczytny wybór i zaufanie opowiedział zebranym swój życiorys. Czeszko jest synem SDKPiL-owca. Podczas okupacji nawiązał kontakt z Gwardią Ludową i został gwardzistą. Potem był żołnierzem Armii Ludowej i jednym z pierwszych ZWM-owców. Jako przedstawiciel ZWM-u wchodził w skład Komitetu Dzielnicowego PPR. Jako dowódca sekcji bojowej brał udział w walkach z okupantem, między innymi w słynnym zamachu na Café Club. Podczas powstania warszawskiego Bohdan Czeszko był szefem batalionu „Czwartaków", walczył na Starówce, w śródmieściu, a następnie na Powiślu, organizował przeprawę przez Wisłę łączników wysyłanych do Marszałka Konstantego Rokossowskiego. Po upadku powstania Czeszko organizował ZWM w Częstochowie, potem ochotniczo zgłosił się do Drugiej Armii i w bitwie nad Nysą został ciężko ranny. Po zakończeniu wojny Czeszko pracował w ZWM-ie i wtedy zaczął publikować swe pierwsze utwory.

„...Dodatkową satysfakcją — powiedział w zakończeniu swego przemówienia Czeszko — jest dla mnie fakt, że kandyduję z warszawskiego okręgu wyborczego, że kandydatura moja będzie przedmiotem głosowania obywateli miasta, z którym jestem zespolony tak wieloma serdecznymi więzami. Miasta mojej młodości, którego widziałem i śmierć, i powrót do życia, miasta, w którego bruk wsiąkła krew najlepszych moich młodych towarzyszy bojowych, a także — niech mi wolno będzie w tej uroczystej dla mnie chwili powiedzieć — także moja".

Dla zebranych pisarzy szczególnie wzruszająca była ta, zapewne nieprzypadkowa, zbieżność: osiem lat temu Bohdan Czeszko, żołnierz AL — organizował przeprawę łączników z ginącego miasta do kwatery Marszałka Rokossowskiego dowodzącego armią wyzwoleńczą, dziś Czeszko — młody pisarz — obok Marszałka Rokossowskiego kandyduje do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Jerzy Putrament omówił zadania pisarzy w kampanii wyborczej. Na przykładzie odbywających się wyborów na prezydenta Stanów Zjednoczonych Jerzy Putrament wykazał różnicę między ordynacją wyborczą demokracji burżuazyjnej a demokracji ludowej. Zadania pisarzy w kampanii przedwyborczej są różnorodne: literaci będą na łamach pism wyjaśniać znaczenie naszych wyborów, literaci wejdą do Komitetów Frontu Narodowego, wejdą do Komisji wyborczych, spotkają się z wyborcami na wieczorach autorskich. W powszechnej mobilizacji przedwyborczej całego narodu nie może zabraknąć pisarzy.

Zabierając głos w dyskusji zebrani pisarze (jak np. Kazimierz Koźniewski, Wojciech Żukrowski i Antoni Olcha) zwracali uwagę na konieczność roztoczenia większej opieki ze strony literatów nad Ziemiami Zachodnimi. Walne zebranie literatów warszawskich uchwaliło rezolucję, w której pisarze postanowili:

„— wziąć jak najszerszy i jak najaktywniejszy udział w rozwijającej się akcji przedwyborczej, a zwłaszcza w imprezach artystycznych i wieczorkach autorskich organizowanych w tym okresie,

— zasilić prasę literacką i codzienną utworami i artykułami związanymi z Programem Frontu Narodowego, z wyborami do Sejmu, z życiem Polski Ludowej,

— w komisjach wyborczych, do których literaci zostaną powołani, spełniać wzorowo swe obowiązki,

— ...roztoczyć opiekę nad życiem kulturalnym Ziem Zachodnich, zwłaszcza Opolszczyzny i Mazur, gdzie w upowszechnianiu narodowej kultury i sztuki pisarz polski powinien stać się przodującą, kierowniczą siłą.

Do podjęcia tej akcji ZLP wzywa również inne związki inteligencji twórczej, a przede wszystkim SPATiF oraz Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich."

Na zakończenie tego uroczystego zebrania literaci Warszawskiego Oddziału powołali Komitet Frontu Narodowego, do którego weszli: Kazimierz Brandys, Maria Dąbrowska, Jan Dobraczyński, Jarosław Iwaszkiewicz, Zofia Nałkowska, Lucjan Rudnicki, Adam Ważyk i Janina Dziarnowska.

Opracowała ROZALIA LASOTOWA

SKARB WYDARTY MORZU*)

CZY MOŻNA PRZYSPIESZYĆ WIERCENIE?

Nie można odpowiedzieć na to pytanie, nie wspominając o znakomitym wiertaczu, Adze Nejmatułła — pionierze nowych metod szybkiego wiercenia. Aga Nejmatułła całym sercem, całą duszą tkwi w swojej pracy. Tygodniami nie opuszcza swojej żelaznej wysepki.

— Czemu nie jedziecie do domu, towarzyszu Nejmatułła, należy wam się odpoczynek.

— Po co do domu? — odpowiada gniewnie majster. — Na ropę czekam! Udarowi mają przyjechać, przestrzelić szyb. Muszę chyba wiedzieć, dlaczego nie spałem po nocach! Mój dom jest tu!

Majster ma zmęczoną twarz, ale gdy wyciągnąć go na rozmowę o wierceniu, ślady znużenia pierzchają.

— Widzieliście moją „trzyrurkę"? Z jednego miejsca wywierciłem jeden po drugim trzy szyby. Oszczędziliśmy miliony rubli! Miesiące całe!

Aga Nejmatułła był w Baku pierwszym wiertaczem, który opanował technikę pochyłego wiercenia świdrem turbinowym i wiercenia kilku szybów z jednej wysepki. „Trzyrurka" — to rekord szybkiego wiercenia.

Majster jest już po pięćdziesiątce, wierci od trzydziestu lat. Pamięta dobrze dawne życie w Baku i opowiada o nim młodym nafciarzom:

— Wyście chłopaki młode, zdrowe, wesołe! Każdemu z was mówili: pr[illegible] do Baku, będziesz mieszkał w eleganckim internacie, będziesz chodził do kina i do teatru, zarobisz kupę forsy, tylko się ucz! Obchodzą się z wami jak z gośćmi. A ja przywędrowałem do Baku sam, miałem siedemnaście lat, byłem mały i chudy, nikt nie chciał brać mnie do roboty. Pomógł wujek Mamed Ali. Zaniósł majstrowi Burchanowi podanie i 25 rubli. Burchan skrzywił się, ale pieniądze wziął. „Co ja z nim będę robił? — powiedział do wujka. — Słabe to, nie może pracować". A wujek na to: „Słuchajcie, majster, on jest jeszcze mały, jak urośnie to i sił nabierze. A tymczasem ja będą robił za niego. Jestem silny, wiecie przecież!" I tak zacząłem pracować na szybie...

W ten sposób rozpoczęło się pracowite życie nafciarza Nejmatułły. Wywiercił setkę szybów na Łok-Batanie, wiercił w Andiżanie, wtajemniczał młodych nafciarzy uzbeckich w arkany tego trudnego i pięknego zawodu. Za ofiarną pracę został nagrodzony wieloma orderami.

Stary wiertacz mówi o swym mistrzostwie prosto:

— Jesteśmy potężnie uzbrojeni przez naszą technikę, trzeba tylko umieć wykorzystać ją do końca!

Mówi o trzech warunkach szybkiego wiercenia, które są doskonale znane każdemu wiertaczowi.

Oto warunek pierwszy. Trzeba zagospodarować miejsce pracy. Kiedy montują instalację na nowej wysepce, trzeba pomóc mechanikom dobrą radą i żądać od nich wielkiej dokładności. W szybie są potężne pompy głębinowe. Można wiercić pod ciśnieniem cementu glinowego 60—70 atmosfer, ale można też wykorzystać całą siłę pomp i podnieść ciśnienie do 150 atmosfer. W tym celu trzeba tak zmontować instalację, by wszystkie jej elementy wytrzymały wysokie ciśnienie cementu, obracającego świder turbinowy. Operacja zapuszczania i wyciągania świdra trwa u Nejmatułły półtora i dwa razy krócej, niż przewiduje norma, ale też w tym celu, instalacja musi być wykonana wyjątkowo dokładnie.

Drugi warunek — ciągła konserwacja narzędzi i ich gotowość użytkowa. Wyciąganie i zapuszczanie kolumny wiertniczej w celu zmiany świdra pochłania zwykle do 65 proc. ogólnego czasu wiercenia. Dlatego ważne jest, by przyrządy pomocnicze — klucze, elewatory, łańcuchy — były stale pod ręką i w dobrym stanie. W brygadzie Nejmatułły śledzi się skrupulatnie i nieustannie sprawność mechanizmów. Szczególnie ważna jest piecza nad działaniem taśm hamulcowych przy wszystkich dźwigach i bulwinach linowych.

I trzeci warunek. Zgranie w pracy. Każdy w brygadzie zna swoje miejsce, zakres swych czynności, pomaga drugiemu. W tym braterskim zespole majster - brygadzista nie może być tylko majstrem, musi być starszym towarzyszem i nauczycielem.

Gdy brygada Nejmatułły otrzymała pierwszą premię za szybkie wiercenie — na każdego wypadło po kilka tysięcy rubli — Aga rozkazał:

— Nie rozchodzić się!

Zaprowadził chłopców do świetlicy.

— Opowiem wam o mojej pierwszej premii — zaczął — a wy uważajcie dobrze. — Kiedy pracowałem u Dżawanszirowa „skrobaliśmy" przez dwa lata jeden płytki szyb, dostaliśmy ropę i właściciel wynagrodził nas. Majster Burchan kazał wszystkim robotnikom ustawić się w szeregu. Wyszedł z biura właściciel, majster ukłonił mu się nisko i zaczął rozdawać robotnikom po rublu, po dwa; wiertacze dostali po trzy ruble, a mnie majster pominął. Wystąpiłem z szeregu i powiedziałem: „Panie, ja też pracowałem!" Dżawanszirow spojrzał na mnie i zaczął się śmiać. „Popatrz tylko — zawołał — taki smarkaty, a też pracował! Burchan, daj mu pół rubla!" Majster dał mi pół rubla. Myślałem, że spalę się ze wstydu. Uciekłem w góry i płakałem. Tej półrublówki nie zapomnę nigdy, i wam nie radzę zapominać. Magerram, ile dostałeś premii?

— Pięć tysięcy, majstrze — odrzekł wiertacz Nagijew.

— A ty, Dżamal?

— Też pięć tysięcy — odpowiedział wiertacz Kerimow.

— No jak, pójdziemy do restauracji, co?

— Pójdziemy, majstrze — zgodzili się chętnie chłopcy.

— Tego się właśnie spodziewałem — złowił nieostrożnych Aga. — Pracować toście się nauczyli, a pieniądze chcecie wyrzucać przez okno. No, idziemy!

Zaprowadził ich do domu towarowego. Sam wybierał ubrania dla pomocników: Kerimowa, Hasajewa, Aliowsadowa, a dla Gejdarowa również i płaszcz. I długo jeszcze potem uczył chłopców, jak mają umiejętnie wydawać zarobione pieniądze.

— O, teraz to z was eleganty! — rzekł wreszcie. — Każda pójdzie za mąż za takiego orła!

— A nam się nie pali do żeniaczki! — zarzekł się Nagijew.

— A do czego wam się pali? Może zabierzecie się i hajda z powrotem do domu? Oglądać się za inną robotą?! Po co ja was uczyłem? Nie, chłopcy. Wyście już znaleźli swoje miejsce w życiu, pokazaliście co potraficie, teraz zapuszczajcie tu korzenie!

Wyswatać chłopców Nejmatułła obiecał żartem oczywiście, ale interesował się życiem osobistym każdego z nich i o każdego troszczył się po ojcowsku.

W taki sposób brygada Nejmatułły nie tylko osiąga doskonałe wyniki w pracy, ale jest również jedną zżytą rodziną.

Gdy Aga Nejmatułła wywiercił z jednej wysepki „trzyrurkę", Trokow powiedział:

— Doskonale! Ale można i więcej. Przecież wszystkie szyby są pochyłe, rozchodzą się od wysepki w różne strony! Można więc wiercić więcej! Ale i to jeszcze nie wszystko. Można, jeśli się ma ruchomy dźwig blokowy, wiercić jednocześnie dwa szyby jedną kolumną wiertniczą. Jak? Zupełnie zwyczajnie: podwiercam jeden otwór; kiedy świder się stępi, wyciągam kolumnę, ale nie odstawiam rur na bok, na pomost, tylko nakręcam je na kolumnę drugiego szybu i w ten sposób, bez przerwy, wiercę drugi otwór.

Specjalnej konstrukcji wieża z ruchomym wielokrążkiem, dla jednoczesnego wiercenia dwóch szybów, jest już zmontowana. Próby przeprowadzi oczywiście sam Trokow.

W WALCE Z PRZYRODĄ

Gdyby ktoś prowadził „metrykę szybu", powstałaby niewątpliwie pasjonująca opowieść o niespodziankach, trudnościach i ich pokonywaniu...

...Obsunęła się nagle na trzy metry bodnia*). Skąd wzięła się ta próżnia w skale? Bez bodni nie można wiercić. Aby dosięgnąć zadniętej w bodni rury, zażądano przysłania kawałka rury zapasowej. Przysłano — ale innej dymensji**). A czas naglił.

Majster, okropnie zły, chodził po wyspie i rozglądał się, czy nie zapodziała się gdzieś potrzebna rura. Trzeba było przecież coś zrobić. Nagle w wodzie u skały, na głębokości około 5 metrów, zamajaczyło coś podobnego do rury. Majster rozebrał się szybko i dał nurka. Woda morska jest przezroczysta, lecz załamuje światło. Dopiero przy piątym nurkowaniu Rzajew trafił rękami na rurę, wczepił się w nią i oderwał od wodorostów. Triumfował: kawałek rury, zrzucony z łodzi i zapomniany, pasował doskonale do rury w bodni.

...Zepsuło się obrotowe jarzmo klinowe, wiszące na wielokrążku: dźwiga ono całą kolumnę rur. Jarzmo waży dwie tony. Z brzegu podwieziono na łodzi drugie jarzmo. Ale na łodzi nie ma dźwigu. Jak przenieść taki ciężar na pomost szybu?

— Do morza! — rozkazał majster. — Spychajcie jarzmo do morza!

Zepchnięto je na dno. W miejsce, gdzie znalazło się jarzmo, znów wrzucono kotwicę na linie wyciągowej. Sam majster dał nurka na głębokość czterech metrów i zaczepił kotwicę o jarzmo. Wyciągnięto je i zainstalowano w szybie.

A oto historia ze świdrami.

Wiercono w głębokich pokładach grząskiego i lepkiego iłu. Trzyfrezowe świdry tępiły się już po kilkunastu metrach wiercenia. Trzeba było ciągle wyciągać cały warsztat wiertniczy, odkręcać świder, zmieniać go na ostry, i zapuszczać do otworu.

Rzajew przypomniał sobie o starym świdrze trzybakowym, bardzo odpowiednim do wiercenia w iłach. Pojechał na brzeg. Ale magazynier nie chciał nawet słuchać o takich świdrach.

— Ciągnie was, majstrze, do dawnych czasów! Zachciało wam się pewnie odpocząć trochę na tej waszej wyspie? Letnisko tam macie!

Ale uparty majster nie ustąpił: zdobył świdry trzybakowe. Przypuszczenia jego sprawdziły się. Wiercenie poszło ze zdwojoną szybkością. Następnie, po wyłyżkowaniu otworu***) zapuszczano rozszerzacz, który wygładzał i rozszerzał otwór i robota szła jak po maśle. Na tej zamianie narzędzi brygada zaoszczędziła kilkaset tysięcy rubli.

...W burzliwy dzień zimowy na „szesnastce" nastąpiła stójka. Do szybu wyjechał majster komsomolec Jakub Alijew.

Łódź z trudem dobiła do wyspy. Gdy pomost łodzi zrównał się na ułamek sekundy z lądowiskiem, Alijew zdążył przeskoczyć na pomost. Sytuacja na szybie okazała się jasna: zamarzły rury kompresora. Trzeba było ogrzać je czymś, aby odtajały. Najprościej byłoby oczywiście użyć lampy do lutowania, ale w szybie był gaz zapalający się od iskry****). Można również zastosować wrzątek, ale jak i gdzie zagotować wodę?

Wodę grzano na łodzi. Zamknięte dzbany z wrzątkiem Alijew przyciągał do wysepki liną. Ogrzewał rury, zasłaniał je sobą od wiatru, rury znów stygły, a on ogrzewał je na nowo. Trwało to bardzo długo. Potem Alijew otworzył wentyl i przedmuchał rury prądem sprężonego powietrza: do morza posypały się kawałki lodu. Kompresor był uruchomiony i pracę w szybie można było podjąć na nowo...

„ZADOMOWIONE" MORZE

Szturm morza trwa. Niestrudzona, nieustraszona, dzielna armia nafciarzy radzieckich posuwa się wciąż głębiej na morze, wciąż dalej od brzegu rośnie las wież wiertniczych. Wsiądźmy do łodzi i przejedźmy się po Morzu Kaspijskim!

Piękny cichy poranek. Powietrze jest zdumiewająco czyste, ożywcze. Jedziemy długo. Daleko za nami zostały przybrzeżne szyby. Mijamy kursujące między Baku i Astrachaniem olbrzymie statki - cysterny. Zdawałoby się, że dawno już skończyła się strefa naftowa — tu głębokie dno niedostępne jest chyba dla poszukiwaczy ropy — i wkrótce pokaże się wschodni brzeg — Turkmenia. Lecz łódź idzie naprzód. Kosmate fale pluskają o burtę, wspinają się szmaragdowymi splotami w górę i opadają ciężko na pokład. I nagle — znów wieże. Z daleka wyglądają jak bezładnie rozrzucone na horyzoncie punkciki. Ale gdy łódź podjeżdża bliżej, punkciki zmieniają się w stalowe wyspy. Pachnie ropą. To Czarna Grzęda. Ma ona romantyczną przeszłość. Z pewnej szczeliny skalnej sączyła się tu zawsze lekka zielonkawa ropa. Rybacy zaglądali tu niekiedy: gotowali rybę na doskonałym paliwie, a zimą rozgrzewali kamienie i grzali się. Pewnego razu morze zakipiało nagle od rwącej się z dna fontanny gazu. Gdy geologowie przypłynęli tu po raz pierwszy, ujrzeli na kamieniach mnóstwo opasłych fok. Foki nie lękały się krzyków ni kamieni i nie zamierzały wynieść się. Trzeba było płoszyć je kijami. Tu, przy Czarnej Grzędzie, spoczywają na dnie morza zatopione okręty. Obecnie na żelaznych wyspach, na skałach, na pokładach zamarłych okrętów — wyrosło wielkie miasto. Wysoko wznoszą się olbrzymie srebrzyste zbiorniki: do nich, rurociągami prowadzonymi po dnie morza, spływa ropa z szybów. Na Czarnej Grzędzie kipi zwykłe radzieckie życie niezwykłego miasta na morzu.

...I znowu pełne morze. Z fal wynurza się naga wyspa. Z daleka wygląda tak, jak gdyby nie było tu śladu życia ludzkiego. Lecz podjeżdżamy bliżej i widać wyraźnie, że człowiek zagospodarował i ten skraweczek nieurodzajnej ziemi. Na wybrzeżu wartko idzie budowa, na falach kołysze się żaglówka.

Jeszcze godzina podróży — oto Wulkanium. Ogoniasta wyspa z wydłużonym cyplem i olbrzymią górą — stożkiem dawno wygasłego wulkanu. Tu już z daleka widać, że wyspa jest zaludniona. Przy brzegu uwijają się łodzie, ku przystani mknie autostradą od wulkanu nowiuteńka ciężarówka. Wysoko wzdłuż brzegu sterczą wieże wiertnicze.

Jedziemy ku Wyspie Górzystej. I tu — tak daleko od brzegu — są ludzie! Widać dzielnicę białych murowanych domów, widać domki wiertaczy. Gromada chłopców, uzbrojonych w drewniane karabiny, towarzyszy nam jako straż honorowa. Stado kóz pasie się na łączce przy starej dzwonnicy; gdy na morze opada mgła, mieszkańcy wyspy biją w dzwon. Nad morzem — pola arbuzowe, osłonięte trzcinowymi zasłonami od wiatru. Smakowite zapachy przygotowywanego przez gospodynie obiadu walczą o lepsze z zapachem ropy.

Po morzu śmigają łodzie, wiozące ładunki żywności i inwentarz: owoce, kozy i ptactwo domowe dla nowych mieszkańców morza, do stołówek. Mijają nas kutry i motorówki, lekkie wdzięczne jachty pasażerskie i ciężkie holowniki, drewniane „kirżimy" i piękne metalowe barki, pośpieszne statki pasażerskie i ogromne dźwigi pływające... Wszystko to mknie w różnych kierunkach, o każdej porze i w każdą pogodę, nadając morzu przytulny „domowy" wygląd. Płynie okręt „Azmornieft" z potężnymi ażurowymi dźwigami na pokładzie. Był tu kiedyś „jedynakiem". Teraz takich okrętów jest cała flotylla. Idzie „Azerbajdżan", okręt - dźwig. Jego olbrzymi pokład nie ustępuje swymi rozmiarami stadionowi sportowemu. I cały jest zastawiony urządzeniami i materiałami do budowy i montażu wysepek na morzu, i wież. Mkną zwinne wszędobylskie kutry: rozwożą robotników do szybów po pięciodniowym odpoczynku w domu, wiozą pilne ładunki.

Wracają z zakupów gosposie, jadą ludzie, skierowani po raz pierwszy do pracy na morzu. Trudna to praca, ale oni już tu zostaną. Ropa przyciąga nafciarza jak magnes. Ten, kto poznał jego niebezpieczeństwa i raz jeden chociażby stanął oko w oko z czyhającą tu nań Wielką Przygodą — ten nie odejdzie stąd.

Opracowała **Rozalia Lasotowa**

*) *Dokończenie artykułu z poprzedniego 38(130) numeru pt. „Nafta z dna morskiego".*

*) Bodnia — szybik w rodzaju piwniczki o wymiarach 3 × 3 metry, wykopany na głębokość 2,5 metra tuż pod podłogą szybu. Na podłodze bodni ustawia się pierwszą płytę z klinami dla uchwycenia rur. Po zmianie dymensji rur ustawia się na pierwszej płycie drugą płytę, odpowiadającą nowej tj mniejszej dymensji rur, itd. W tejże bodni dokręca się coraz to nowe rury za każdym razem po uwierceniu kilkunastu metrów otworu. (R. L.)

**) Dymensja — wewnętrzna średnica rury, mierzona w calach. (R. L.)

***) Łyżkowanie polega na całkowitym wyciągnięciu uwierconego terenu z otworu za pomocą kilkakrotnie opuszczanej na dno tzw. łyżki-rury z automatycznie zamykanym i odmykanym dnem. (R. L.)

****) Z tego powodu nie wolno np. w szybie, który już gazuje, zapalać elektrycznych lampek kieszonkowych ani używać żelaznych młotów. Używa się młotów miedzianych, nie dających iskry przy uderzaniu. Prąd elektryczny doprowadza się spoza szybu, aby w szybie nie było żadnych wyłączników. (R. L.)

STANISŁAW LEM

O WSPÓŁCZESNYCH ZADANIACH I METODZIE PISARSTWA FANTASTYCZNO-NAUKOWEGO

I

Na wstępie chciałbym wyjaśnić, że poniższe uwagi ograniczają się do moich osobistych poglądów na cele i zadania literatury fantastyczno - naukowej i nie roszczą sobie pretensji do obiektywnej oceny wszystkich osiągnięć i możliwości tego gatunku pisarskiego. W dalszym ciągu będę się bardziej szczegółowo zajmował takimi utworami, które, po pierwsze, usiłują stworzyć obraz przyszłego społeczeństwa w oparciu o najlepsze istniejące metody naukowe, oraz, po drugie, które spośród wielu możliwych obrazów wybierają najbliższy współczesnym przez to, że zawiera problemy, pozwalające nam lepiej pojąć sens i przemiany teraźniejszości.

Z powiedzianego wynika że, przystępując do pisania książki fantastyczno-naukowej, pisarz musi najpierw posiąść możliwie szeroką wiedzę o współczesności, o tendencjach rozwojowych społeczeństwa, nauki, sztuki, ponadto zaś wyposażyć się w metody przewidywania przyszłego biegu dziejów. Pracę jego do pewnego stopnia można porównać do pracy astronoma, który na podstawie znajomości obecnego położenia planet wylicza ich położenia przyszłe. W tym porównaniu wiedzy pisarza o teraźniejszości odpowiada wiedza astronoma o obecnym położeniu ciał niebieskich, metody zaś pisarskie przekształcania zaczątków nowych stosunków i form społecznych w obraz ich przyszłego rozrostu odpowiadają teorii, na jakiej astronom opiera się w swoim rachunku. Oczywista, oba rodzaje przewidywania cechuje (między innymi) ogromna różnica dokładności: gdy przewidywanie procesów rozwojowych społeczeństwa utrudnia się poważnie już przy odejściu o lata od chwili obecnej, to dokładność przepowiedni astronomicznej ulega zakłóceniom dopiero, gdy od oczekiwanego wyniku oddzielają ją setki milionów lat.

Astronom opiera się w swej pracy na jednej, powszechnie uznanej teorii ciążenia. Czy mamy analogiczną teorię w dziedzinie nauk społecznych? Zanim odpowiemy na to pytanie, przyjrzyjmy się pobieżnie niektórym istniejącym dziełom omawianego rodzaju literackiego. Ma on swoją tradycję i swoich wielkich pisarzy, że wymienię tylko dwóch: Juliusza Verne i Herberta G. Wellsa. Pierwszy interesował się przede wszystkim problemami technicznymi; dał doskonałe przepowiednie rozwoju komunikacji (samolot, łódź podwodna, pocisk księżycowy), lecz prawie wcale nie zajmował sie socjologiczną stroną przyszłości i beztrosko przenosił stosunki swojej epoki na karty książek.

H. G. Wells reprezentuje odmienny typ pisarstwa — problemy techniczne schodzą w nim na dalszy plan, stanowiąc tło, na którym toczy się akcja. Tak się przynajmniej dzieje w jego książkach najdonioślejszych. Wyprawa na księżyc stanowi dlań pretekst do krytyki ustroju kapitalistycznego (Pierwsi Ludzie Na Księżycu), a w innej powieści (Ludzie Jak Bogowie) nie ogranicza się do krytyki, lecz ukazuje przyszłe, doskonalsze od istniejącego społeczeństwo. Czy więc metoda pisarska Wellsa spełnia wysunięte przeze mnie postulaty?

Zajrzyjmy do jego książek i zestawmy ich treść z rzeczywistością. W dziedzinie nauki i techniki dał Wells wiele „prawdziwych proroctw", że wspomnę tylko o książce z roku 1914 „The World Set Free", w której przewidział wynalazek bomby atomowej. W „Anticipations" szedł dalej: nie poprzestał na samym opisie wynalazków, lecz starał się przewidzieć, jaki wpływ wywrze na społeczeństwo powszechne ich zastosowanie. We wspomnianej książce poświęcił sporo uwagi ewolucji sztuki wojennej i, rzecz ciekawa, myląc się poważnie w szczegółach wielu wynalazków (samolotu, czołgu itp) — przewidział jednak — w 1902 roku! — ogólne cechy wojny współczesnej: jej ruchowy charakter, współdziałanie różnych rodzajów broni naziemnej z lotnictwem, tendencję do „głębokiego manewru" itp.

Możemy stąd wyciągnąć wniosek, że w dziedzinie rozwoju technicznego można mylić się w przepowiadaniu poszczególnych wynalazków, ale, jeśli posuwamy się zgodnie z istniejącą długookresową tendencją rozwojową technologii, to uzyskamy zadowalającą przepowiednię ostatecznego wyniku.

Jak widzimy, przepowiednie techniczne Wellsa są godne uwagi. A jego przepowiednie społeczne? Powiedzieliśmy, że w powieści „Ludzie Jak Bogowie" pokazał doskonałe społeczeństwo przyszłości. Nie wskazał jednak dróg dojścia do tego lepszego etapu, zgodnie zaś z tym, co powiedzieliśmy na początku, nie zadowalamy się samym opisem: pragniemy wiedzieć, jakie przesłanki skłoniły pisarza do stworzenia takiego, a nie innego obrazu „doskonałego świata". Jakież były poglądy Wellsa?

W czerwcu 1934 roku przyjechał on do Moskwy i odbył rozmowę ze Stalinem. Przybył do Związku Radzieckiego ze Stanów Zjednoczonych, gdzie wprowadzany właśnie przez Roosevelta „New Deal" wywarł na nim duże wrażenie. Oświadczył, że jest przeciwnikiem kapitalizmu, lecz uważa metody i propagandę komunistyczną, w szczególności propagowanie idei walki klas, za całkowicie przestarzałe. Przyszłość świata widział na drodze reform. „Jeżeli — mówił — kraj w całości przyjmuje system gospodarki planowej, jeśli rząd stopniowo, powoli, krok za krokiem zaczyna wprowadzać ową zasadę, to w ostatecznym wyniku zostanie zniszczona oligarchia finansowa i nastanie socjalizm..."

Stalin odpowiedział, że nie chce pomniejszać osobistych walorów prezydenta Roosevelta, lecz wątpi w trwałość i znaczenie wprowadzanych przezeń reform. Amerykanie mogą najwyżej doraźnie zmniejszyć skutki kryzysu, lecz nie usuną korzeni anarchii, które tkwią w samym systemie kapitalistycznym, a ten pozostanie nietknięty reformami. „Subiektywnie" — powiedział — „Amerykanie ci może i sądzą, że przebudowują społeczeństwo, lecz obiektywnie zachowują obecną bazę społeczną". Jeśli Roosevelt stanie się niewygodny potentatom przemysłowym, znajdą na jego miejsce innego, bardziej powolnego prezydenta.

„Sprzeciwiam się" — odparł na to Wells — „tej uproszczonej klasyfikacji świata na bogatych i biednych". Socjalizm winien, mówił, pozyskać przede wszystkim kręgi inteligencji technicznej, a „podchodzić do nich z propagandą walki klas jest bezcelowe. Ci ludzie uważają wasz prymitywny antagonizm walki klas za nonsens".

„Nie widzieć walki klas" — odrzekł Stalin — „znaczy to ignorować fakty... Przemiana świata — to ogromny, złożony i bolesny proces. Do tak wielkiego dzieła trzeba wielkiej klasy. Dla wielkiego statku — wielka podróż".

— „Wielki statek to ludzkość, a nie klasa" — odpowiedział Wells. Dalej twierdził, że propaganda komunistyczna jest anachronizmem, tym bardziej, iż kapitalizm sam się już wali.

„Istotnie" — przyznał Stalin — „ustrój kapitalistyczny wali się, lecz on sam nie runie. Weźmy np. faszyzm. Co pan będzie robił z faszystami? Przekonywał ich? Komuniści wcale nie idealizują metod przemocy. Lecz oni, komuniści, nie chcą okazać się zaskoczonymi niespodzianie i dlatego mówią klasie robotniczej:

„Bądźcie gotowi odpowiedzieć siłą na siłę, zróbcie wszystko, żeby nie zmiażdżył was ginący stary ustrój".

Gdy Wells nadal powtarzał, że najważniejsze jest pozyskanie ludzi wykształconych a powolna ewolucja świata leży na drodze reform, Stalin odpowiedział: „Mówił pan o wykształconych kołach. A przecież wykształcenie — to broń, której efekt zależy od tego, kto ma ją w ręku..." Rozmowa zakończyła się na ustaleniu rozbieżności postaw. Sześćdziesięcioośmioletni pisarz, naukowy prorok przyszłości świata, powrócił do Anglii, przeświadczony o wyższości własnych poglądów nad prostymi — zbyt, jak sądził, prostymi — tezami marksizmu. Rozstrzygnięcia należało oczekiwać od historii. I wypowiedziała je, nieubłaganie jak zawsze.

Jakże naiwnie, bezsilnie brzmią dziś słowa Wellsa o „reformach — drodze postępu", o „nowym porządku" Roosevelta, jako drodze do socjalizacji Ameryki, o „legalnym, zgodnym z istniejącymi prawami przemienianiu kapitalizmu w socjalizm". A jakim nowym, groźnym znaczeniem wypełniły się słowa Stalina o nauce, broni, „której efekt zależy od tego, kto ją ma w ręku!"

Czyż nie potwierdziła tego zbrodnicza polityka atomowa USA?

A jak dziś brzmią słowa „uważajcie, żeby was nie zmiażdżył stary ginący ustrój" — dzisiaj, po sześciu latach hitlerowskiej nocy nad Europą, w okresie wzrastającej faszyzacji Stanów Zjednoczonych?! Zdawać by się mogło, że Stalin, wtedy, w 34 roku, widział wszystko co będzie: i hitlerowski zalew Europy, i potworne barbarzyństwo, które chciało zmiażdżyć ludzkość, i nawet czasy późniejsze, powojenne, kiedy to Truman zastąpił Roosevelta i kamień na kamieniu nie pozostał z osławionego „New Deal'u". Czy wreszcie słowa Stalina o subiektywnych przekonaniach Amerykanów i obiektywnym stanie rzeczy nie odnoszą się — w ostatecznej konsekwencji wszystkiego, co zaszło — do samego Wellsa? Tragiczna jest postać starego mędrca, wielkiego pisarza, który nie chciał bawić ani zmyślać, lecz mówić samą tylko prawdę. Całe życie poświęcił poszukiwaniu naukowej metody przepowiadania przyszłości świata i sądził, że ją znalazł. Ostateczną próbą każdego systemu myślowego, każdej teorii jest doświadczenie. Doświadczenie zostało wypełnione — labotoratorium była cała kula ziemska, pola bitew od Wołgi do Oceanu. Wszystkie twory Wellsa okazały się — utopiami. Człowiek myślący naukowo dziś nie może mieć wątpliwości w wyborze metody, która pozwala przewidywać przyszłość. Jest nią materializm historyczny.

II

Rzecz oczywista, nie mogę na tym miejscu rozwinąć teorii materializmu historycznego i nie mam zamiaru tego robić. Ograniczę się do płynących zeń wytycznych dla przewidywania przyszłych form społecznych i stosunków międzyludzkich. Jak będzie wyglądać społeczeństwo komunistyczne — gdyż o nim ma być mowa?

Materializm historyczny stwierdza, że oblicze społeczeństwa, jego życie duchowe, poglądy, idee, stosunki ludzkie, zależą w ostatniej instancji od materialnych warunków bytu, bardziej zaś szczegółowo — od sposobu wytwarzania i rozdziału wszystkich dóbr materialnych. Z kolei cywilizacyjno-kulturowa nadbudowa wpływa na kształtowanie się bazy. Proces ten uwydatnia się ze szczególną siłą, gdy ludzie, poznawszy prawa rozwoju społecznego, rewolucyjnym działaniem zmieniają złe, kapitalistyczne stosunki produkcji i przystępują do budowy bezklasowego społeczeństwa. Ale i ta świadoma działalność uzależniona jest od konkretnego etapu rozwoju środków i narzędzi produkcji oraz ogółu wiedzy technicznej i naukowej.

Z powyższego wynika pierwsza wskazówka dla pisarza: pragnąc zbliżyć sobie obraz ludzi przyszłości, musi pierwej skonstruować hipotetyczną bazę materialną ich społeczeństwa, gdyż to ona w najogólniejszych granicach wyznaczać będzie sposób ich życia, ich zajęcia, idee, myśli, teorie, pasje, konflikty. W stworzeniu zaś owej bazy materialnej pomogą mu z jednej strony — najnowsze, najbardziej rewolucyjne osiągnięcia myśli naukowo-technicznej, z drugiej zaś — pewne ogólne wskazania klasyków marksizmu, powstałe w analizie „stopni ekonomicznej dojrzałości komunizmu" (Lenin).

Mówiąc o osiągnięciach nauki i techniki, mam przede wszystkim na myśli tak zwane długookresowe tendencje rozwojowe. Stanowią one rodzaj mniej lub bardziej szybkiego narastania zmian ilościowych w określonym kierunku, wiemy jednak, że po pewnym czasie zmiany te stają się źródłem nowych jakości. Dla zilustrowania powiedzianego podam dwa przykłady — jeden zmian o konsekwencjach stosunkowo wąskich, drugi zaś niezmiernie donioslych i powszechnych.

Przykład pierwszy. Istnieje obecnie ustalona technika zapisu wszelkiego rodzaju informacji, naukowej i innej. „Magazynuje się" ją zasadniczo w książkach. Otóż, jak wykazują obliczenia, produkcja światowa książek wzrasta nieporównanie szybciej niż proces odwrotny — „starzenia się" książek i wycofywania ich z księgozbiorów Prowadzi to do tego, że co kilkanaście lat podstawowy fundusz bibliotek nieomal się podwaja, i można bez trudu wykazać, że nastąpi czas, w którym same tylko prace katalogowania gotowe w każdej bibliotece zająć wiele tysięcy ludzi, a dalej, po upływie kilkuset lat, nastąpiłby taki stan, że cała Ziemia byłaby po prostu jedną ogromną biblioteką i ludzkość musiałaby się zmienić wyłącznie w... bibliotekarzy. Jest to oczywisty nonsens, wskazujący, że w przyszłości — trudno powiedzieć jak dalekiej — trzeba będzie zmienić sposoby „magazynowania" informacji. Jaki to będzie proces, nie łatwo powiedzieć, i tu otwiera się pole dla wyobraźni pisarza. Sama jednak tendencja rozwojowa jest już dziś wyraźnie dostrzegalna.

Przykład drugi. W dziedzinie środków i narzędzi wytwórczych występuje długookresowa tendencja postępującej mechanizacji i automatyzacji procesów produkcyjnych. M. in. powstające, coraz nowe wynalazki i odkrycia przyspieszają dalszy bieg zjawiska, wskutek czego postęp techniczny w pierwszej połowie XX wieku jest daleko większy od takiegoż postępu w I-ej połowie XIX wieku, itp. Już dziś powstają w ZSRR pierwsze fabryki, elektrownie, kombinaty niemal całkowicie bezludne. Szczupła grupa osób nadzoruje bieg gigantycznych zespołów maszyn wtrącając się do ich pracy jedynie w wypadku uszkodzeń. I to nawet osiągnięcie mamy prawo uważać za etap, a nie koniec rozwoju (sądzę, że takiego „końca" w ogóle nie będzie, gdyż oznaczałby on początek epoki zastoju). Cóż więc będzie dalej? Od kilku lat prowadzi się badania nad konstrukcją mechanizmów, które mogą zastąpić człowieka nie tylko w pracy fizycznej, ale i umysłowej, zwłaszcza w jej przejawach prostszych, nietwórczych, monotonnych. Należą tu rozmaite rodzaje obliczeń matematycznych, pewne przebiegi obserwacyj (meteorologiczne choćby) i właśnie — nadzór i kontrola nad innymi maszynami. Dawniej praktyczne rozwiązanie tego problemu wydawało sie niemożliwe dlatego, ponieważ ustawienie automatu, kontrolującego działanie maszyn wymaga — zdawałoby się — ustawienia innego automatu, kontrolującego pierwszy automat (gdyż i on może sie popsuć), że zaś uszkodzeniu podlegać może również ten drugi automat, zachodzi potrzeba ustawienia trzeciego itd. Mamy klasyczny „regressus ad infinitum". Na szczęście nowoodkryte układy elektronowe pozwolą zapewne budować urządzenia „samonaprawiające się" w razie uszkodzenia. W ten sposób szkopuł zostanie usunięty i po powszechnym wprowadzeniu owych nowych metod produkcji cała jej dziedzina zostanie praktycznie niemal zupełnie oderwana od codziennej działalności ludzkiej. Komuś może się wydać, że to przyszłe społeczeństwo z całkowicie zautomatyzowaną i niesłychanie obfitą produkcją wszelkich dóbr materialnych to jakiś „Schlaraffenland", gdzie ludzie gotowi zamienić się w nierobów, którym „gołąbki lecą same do gąbki". Otóż tutaj musimy przezwyciężyć narowy myślenia, odziedziczone po dawnych układach społecznych przemocy i wyzysku. Ludziom, wychowanym w kapitalizmie i serdecznie do niego przywiązanym, koncepcja „najwyższego nieróbstwa" może by i odpowiadała. Myślę jednak, że każdy rozsądny człowiek woli nasze dzisiejsze trudności od takiej „doskonałości". Wychowanie, sublimacja wrodzonych popędów, wielkie przykłady, cała atmosfera społeczeństwa stworzy w przyszłości tak powszechne zamiłowanie do twórczej pracy, że „praca stanie się elementarną potrzebą życiową" (Marks, Lenin). Twierdzenie to nie płynie z jakiegoś nadmiernie optymistycznego spojrzenia na naturę ludzką, lecz jest po prostu wnioskiem wydedukowanym z całej wielowiekowej historii rodzaju ludzkiego, którego rozwój umysłowy, chociaż powolny, nigdy się na dłuższy czas nie zatrzymywał. Jakież będą praw-

Ciąg dalszy na str. 6-ej



Bernard Bugdoł — górnik, obecnie dyrektor kopalni i laureat Nagrody Państwowej w dziedzinie techniki, wysunięty został jako kandydat na posła do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (RED.).

STANISŁAW BROSZKIEWICZ

Opowieść o bugdołowym byku

Bernard Bugdoł położył dłoń na lekko rozgrzanej, chropawej od pyłu płycie maski. Czuł równe, rytmiczne drgnienia odpowiadające z dokładnością ułamka sekundy jazgotowi sypiącego się węgla. Bugdoł więcej odgadł niż dojrzał uśmiech Osowskiego. Odpowiedział uśmiechem. Wojtek Winkler coś tam pokrzykuje, akurat dużo tu usłyszysz w tym huku.

Osowski przeciska lewy ster i zwiększa długość wrębu — z boku maszyny tryska prostopadle w ścianę wstęga srebra. To wrębnik zatraca w tym tempie swój normalny podział na noże, łańcuch i osadę, staje się piorunem.

Kw-57 idzie! Idzie upadem pod górę taran, idzie dygocąc i warcząc, wstrząsany tonami walonego na rynny węgla. Węgiel sunie w podrygach na taśmę, toczy się nią do wylotu bunkra i zapada z łoskotem. Bernard Bugdoł oblicza, że pierwsze urobione przez kombajn tony już są na powierzchni, już na płuczce, już w sortowni. Bernard Bugdoł postępuje za maszyną jak oracz za pługiem. Dobra orka.

Coś jakby swąd... a może tak się zdaje? Może zapytać Osowskiego? Czy też coś czuje?... Nie. Nie warto. Aby usłyszeć pytanie, musiałby wyłączyć motor. Szkoda czasu... Ale Osowski też coś widać poczuł, bo odwraca czarną twarz i pokazuje w noc. I Wojtek Winkler odłożył klucze i patrzy wokoło wytężonym spojrzeniem. Motor stop! Prychnęło, zatrzęsło — huk wsiąknął w ciszę.

Coś się pali. Swąd spalenizny jest tłusty i duszący jakby... łożysko! — krzyczy Osowski i wszyscy trzej rzucają się do odkręcania płyty, wydzierając sobie uchwyt. Tak, pali się łożysko wału kruszącego. Na cementowej skali zaworu wre smar, z łożyska unosi się smużka jasnego dymu. Kw-57 stoi...

— Tylko spokojnie, spokojnie — szepcze Bugdoł, choć czuje, że ogarnia go szaleństwo. Zwiera szczęki w nieznośny skurcz bezsiły. — Tylko spokojnie, choć nie ma zastępczego łożyska i trzeba będzie gruby stalowy pierścień powtórnie toczyć. Spokojnie — choć będą triumfować poniektórzy, co od dawna wyśmiali i wyszydzili dyrektorską pasję mechanizowania. Ano babrał się z tym dyrektor i babrał przez parę miesięcy, puścili „to to" i szlus.

Osowski gwiżdże przez zęby, mocuje się z zaciskiem. Wystraszony Wojtek pogaduje jakimś chłopięcym skarżącym się głosem:

— Pierona, co tyrozki bydzie, pierona. Ale momy pech.

— Zawrzyj pysk!

Wojtek spojrzał na dyrektora z wyrzutem.

— Przeca padom... — urwał.

Bugdoł podniósł się z kolan i skierował ku komorze sztygarskiej. Nadsztygar Lipko usłużnie skoczył do telefonu.

— Powierzchnia! Będzie mówił dyrektor Bugdoł! — Oddawał słuchawkę z uśmiechem pełnym nieprzejednanej, drwiącej uprzejmości.

— Tu Bugdoł. Niech w warsztatach przygotują tokarkę. Co? Tak. Stoi. Właśnie łożysko. Co? Przewiuywaliście? To dobrze. Ześlijcie mi tu tych od montażu. To wszystko... — Odwiesił. Spojrzał z nienacka na Lipkę, ale ten momentalnie pochylił się nad raportami.

*

Osowski i Winkler kłusem pobiegli do warsztatu. Stanęli za maszyną i wyrzucili spod rozpędzonych noży strumienie iskier. Szybko zdzierali z pierścienia zapiekłą skorupę zwęglonej oliwy i stali. Szlif szedł coraz głębiej, iskry coraz wyżej. Opadały potem tęczową chmurą opiłek.

— A wy co, jeszcze tutaj? — zagadnął ostro Bugdoł wchodząc. — Idźcie na obiad. Wzruszyli ramionami.

Do 6-ej wieczorem trwała naprawa łożyska. Zdecydowali zamontować i jechać dalej, żeby chociaż raz przejść ścianę, żeby chociaż na dzisiaj zamknąć pyski tym, co wydziwiali. Wreszcie powyciągali pajdy chleba i siedli pod ścianą.

Naczelny inżynier. Wiktor Łebedyński, poprosił przez telefon, czy pan dyrektor nie mógłby... nie, pan dyrektor nie może. Pan dyrektor prosi pana inżyniera tutaj.

Łebedyński starszy (mówili o nim — „kulturalny" człowiek), o sympatycznej, budzącej zaufanie twarzy, speszył się nieco widokiem, jaki zastał. Kręcił się, przestępował z nogi na nogę, ani tu usiąść, ani nie ma jak stanąć. Nie mógł zacząć. Bugdoł odesłał swoich ludzi na podszybie. Łebedyński referował nowe zarządzenie, które właśnie nadeszło ze Zjednoczenia. Limity zatrudnienia nierealne. I on, Łebedyński, uważa, że należy zażądać od komisji, aby po zbadaniu warunków, bo przecież... niech pan dyrektor nie bierze mu tego za złe, ale on osobiście — ba! — czy tylko on, najpoważniejsi wśród dozoru nie mogą brać na serio zapowiedzi oddania na przygotówki tych 20 ludzi, których pracę ma zastąpić kombajn. I co za kombajn zresztą? Popatrzmy realnie, drogi dyrektorze: przecież to improwizacja! Kombajn z wrębówki! Nastawiać wydobycie oddziału na taką mechanizację?

— Panie dyrektorze... drogi panie Bernardzie... pan wie najlepiej, jak bardzo pana lubię i cenię, a nawet podziwiam. Więc bez obrazy, panie Bernardzie, mógłbym być przecież pańskim ojcem i, nawiasem mówiąc, dumny byłbym z tego. Niech pan słucha: trzeba się liczyć z rzeczywistością. Entuzjazm, zapał, polot — to piękne i wartościowe przymioty, ale kiedy stwarzają chimerę... przecież to nie ma żadnego pokrycia ani w dokumentacji naukowej, ani w doświadczeniu technicznym. Zresztą tyle razy już panu...

— To mówi pan, że kombajn nie pójdzie?

— Nie. — Głos inżyniera brzmiał twardo i zdecydowanie.

— Zobaczymy... — Wyszedł na dziedziniec. Łebedyński długo patrzał za nim, smutnie i litościwie kiwając głową.

Na nadszybiu stał ubrany do zjazdu w dół pierwszy sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej, Łysko, i instruktor partyjny, Lenner.

— Jadymy z tobą Bernard! — Bugdoł skinął głową. Mrok wciągnął ich szybko, winda wpychała do uszu parte ciśnieniem powietrze.

*

Brygada Moskalika zeszła na przecinkę, by przeczekać odstrzał. Ciężko szło im dzisiaj. Węgiel twardniał nad spągiem, twardzizna szła zygzakami pod strop, dzieliła przerost łupku, ginęła w stropie i znów nieoczekiwanie przecinała się z ostrzami wiertarek. Ciężko było dzisiaj. I nie tylko dzisiaj.

Brygada Moskalika — rębacze i ładowacze kopalnianej pierwszej klasy, szturmowcy, a idą zaledwie na 120 procent normy. Już dzisiaj minęli się o 17 minut z harmonogramem pierwszych wierceń. Klnąc, na czym świat stoi, Dożdżyk naciskał spust zapalarni. W ciężkim dmuchliwym grzmocie dało się słyszeć jednostajne dudnienie.

— Byk Bugdoła biere!

Poszli tam zobaczyć. Byk bugdołowy był już w połowie długości ściany. Szedł ciężko i obocznie prowadzony siłą motoru. Dobrze i równo grało mu w środku. Bugdoł odwrócił się do moskalikowych chłopaków i pokazał wzniesionym do góry kciukiem: fajnie. Przybliżyli się pomagając spojrzeniem walić się tonom węgla. Kombajn — bez wiercenia, strzelania, bez obrywki pneumatycznej, bez mordowania się z ładowaniem. Kombajn — Osowski pociśnie parę knefli i węgiel som sie ciepie jak głupi. Jeden postęp — raz pras i fertik. U nich o każdy metr postępu trza się bić. Ciaśniej zwarli się za Bugdołem. Czuł na pokrytym potem karku ich gorące oddechy. Dobrze mu się zrobiło na sercu.

Na 39 metrze ściany nawaliło sprzęgło. Trzy godziny kombajn stał znowu w gorączkowej, rozpaczliwej naprawie. Ruszyli dalej. Na 50 metrze trzasnęła lina. Reperowali ją dwie godziny. Już Osowski i Winkler ledwo trzymali się na nogach, już Łysko i Lenner ochrypli od wołania na górę po lewary i montażystów Na 62 metrze lina trzasnęła po raz drugi. Stali wokół chłodniejącej maszyny, dysząc ciężko

— Więcej napraw niż warte to całe urabianie — Bugdoł miał już dość. Odwrócił się zniechęcony. — To wszystko do rzyci! — zawołał. Osowski rżnął o ziemię końcem zerwanej liny. Pozostali milczeli, patrząc w spąg. Cóż — o kombajnach mówiło się co prawda w technikum. Mówiło się wiele o mechanizacji, robiło plany. Ale w kopalniach, w ruchu, nikt jeszcze nie wyszedł ponad wrębówki i kacze dzioby. Długo walczył z warunkami geologicznymi kopalni i uczuciami serc ludzi Bernard Bugdoł zanim przygotował pierwszy front pod kombajn.

Ale kombajnów jeszcze w Polsce nie było, miały dopiero nadejść ze Związku Radzieckiego.

Bernard nie mógł czekać. Walka wypowiedziana rutynowanym technologom w ćwikierach nie znosiła przerw.

Jak powstała myśl przerobienia zwykłej wrębówki na kombajn? Jak powstał w ten sposób pierwszy kombajn polski? Geneza tkwiła oczywiście w tym uczuciowym, gorącym stosunku do produkcji i do jej rozwoju. Tkwiła w sile, jaką bugdołowym, zdawało się szaleńczym, pomysłom dawała całym swym autorytetem partia, wypływała z solidnej pracy, z jaką stary Osowski i młody Winkler podjęli

Dokończenie na str. 4-ej

BOGDAN HAMERA

INNY WRZESIEŃ

W zielonym świetle rana była czarna, bandaż bladozielony, a rozwijające go ręce wyglądały zgoła koszmarnie.

— Zrzuć to zielone, do diabła...— syknął człowiek, który przedstawił się jako kapitan „Smuga". Odziany był w marynarkę ongiś jasnego koloru, a ‿rojoną w jakimś wojskowo - sportowym stylu. Wiek jego trudno byłoby określić, bowiem twarz miał dawno niegoloną i zapewne niezbyt regularnie mytą. Na rękawie marynarki nosił biało-czerwoną opaskę, a nad lewą kieszonką dwie baretki, których znaczenie trudno określić, gdyż obie były jednakowo szare i postrzępione.

— Rzeczyw... — mruknął przyświecający latarką powstaniec.

Zielony odcień światła znikł i wszystko nabrało ludzkiego wyglądu. Rana stała się raną, bandaż bandażem, a ręce kobiecymi rękami o smukłych, wyjątkowo czystych palcach.

Kapitan Litwiniak pochylił się i z bliska jeszcze raz obejrzał ranę. Zrozumiał, dlaczego tak dziwnie go piecze. To było raczej oparzenie trzeciego stopnia, a nie zwykła rana. Widocznie odłamek uderzył z rekoszetu i zostało mu tylko tyle siły, aby przebić cholewę i nogawkę; w ciało już się nie wbił, tylko je przysmażył. Podtrzymując ręką ściągniętą do kolana nogawkę wyprostował się znowu.

— No... ale to nam nie przeszkadza.

— Wydaje mi się, panie kapitanie, że najpierw trzeba załatwić z opatrunkiem...

— To się przecież załatwia. O, proszę, z jaką wprawą... Przecież nie my to załatwiajem... załatwiamy

— Pan kapitan może słuchać?

Litwiniak już otworzył usta, żeby powiedzieć „pan kapitan może słuchać", ale się powstrzymał.

— Mogę słuchać.

— Więc nasza „forteca" ciągnie się od ulicy Zagórnej z tym, że niektóre domy po tej stronie są w tej chwili w ich rękach, do ulicy Wilanowskiej z domami i oficynami po tamtej stronie. W głąb do Czerniakowskiej. Ale to panu chyba wiele nie mówi. To musimy obejrzeć na miejscu, w dzień. Ludzi mamy około czterystu... zdolnych do walki.

— Bardzo „około"?

— Trudno bliżej określić. Już w tej chwili może być mniej niż przed pięcioma minutami. Słyszy pan, że ludzie walczą. A posiłków przecież... skąd?...

— Dużo ludzi wy stracili?

— Dużo.

— Hm... Jak to łatwo powiedzieć — dużo. Ale po co?

— Oni wiedzieli, po co.

— Ale czy ich śmierć miała sens? — wykrzyknął kapitan potrząsając wolną ręką.

— W walce nie ma bezsensownej śmierci — z przekonaniem odpowiedział Smuga. Zawahał się na chwilę, ale dokończył. — A wy... dlaczego cofnęliście się z Pragi?

— Z jakiej Pragi?

— Z jakiej Pragi? O, z tej, tam na prawym brzegu...

— Kiedy my się cofnęli?

— Byliście jeszcze w sierpniu na Pradze?

— W sierpniu my byli nad Pilicą.

— Nie chodzi konkretnie o was, ale w ogóle wojsko polskie, czy sowieckie było na Pradze i cofnęło się.

— Dawno minął ten czas, kiedy my się cofali, przyjacielu. Jeszcze gdzieś na lewobrzeżnej Ukrainie.

— A Pragę kiedyście wzięli?

Litwiniak zwrócił się do Boguty.

— Dajcie no to... ten rozkaz. O, dziękuję... — rzucił sanitariuszce, która właśnie skończyła opatrunek.

W piwnicy było cicho. Wszyscy obecni przysłuchiwali się rozmowie dowódców. Litwiniak zajął się odwijaniem nogawki, więc Boguta podał kartkę Smudze. Ciszę wypełnił radiotelegrafista swoim monotonnym skandowaniem.

— Wołga! Wołga! Wołga!... Ja Wisła! Ja Wisła! Ja Wisła!... Jak mnie słyszysz? Jak mnie słyszysz?... Odbiór... — przekręcił gałkę i skulony w kącie zamienił się w węzeł skupienia.

Przez piwniczne okno już się wsączał znad Saskiej Kępy wrześniowy, pogodny świt i szerokimi płaszczyznami rozdzielał ciemności na kształty ludzi i przedmiotów. Kapitan Smuga trzymaną w kręgu światła kartkę odwrócił na drugą stronę, jakby przeczytany tekst nie zaspokoił jego ciekawości, nie odpowiedział na wszystkie pytania. Ponieważ druga strona była czysta, odwrócił znowu na zadrukowaną i jeszcze raz przeczytał.

Boguta z troską przyglądał się dowódcy batalionu, który naciągał but na ranną nogę. Był przekonany, że mu się to nie uda, ale oto kapitan stanął, przytupnął, potem przeszedł parę kroków, zrobił szybki zwrot.

— W porządku... — mruknął jakby dla uspokojenia samego siebie.

Smuga zwrócił Bogucie kartkę jakimś opieszałym, ciężkim ruchem.

— Czternastego... to znaczy przedwczoraj...

— Przedwczoraj.

— Czternastego września. A nie w sierpniu...

— Czternastego września.

Kapitan Smuga ciężko zwiesił głowę.

— No, tak... To jest dokument, a tamto było gadanie...

Rosły, barczysty, przystojny mężczyzna, który przedstawił się jako dowódca grupy AL na przyczółku, porucznik „Mirek", poruszył się energicznie.

— A jak ja mu przedstawiałem dokument, to nie wierzył.

— Jaki tam dokument... — ze skazą cierpienia w głosie odepchnął Smuga. — To był artykuł, jaki każdy może napisać, a tu jest rozkaz naczelnego wodza Armii Czerwonej...

— Tego też pętak nie napisał — podniósł trochę głos porucznik Mirek, jakby uwaga Smugi jego osobiście dotknęła. Prędko wydobył zza pazuchy starannie poskładaną gazetę, rozłożył, pociągnął Bogutę za rękaw ku oknu. — Czytaj... — bezceremonialnie zaczął „tykać".

Boguta spojrzał na tytuł gazety, który Mirek niby mimochodem ale wyraźnie mu podsunął. „Armia Ludowa" Nr 26. Potem przeniósł spojrzenie tam, gdzie porucznik pokazywał mu palcem. Szybko przebiegał oczyma wiersze.

...Jesteśmy armią i wobec powagi rozgrywających się wydarzeń, żądamy spojrzenia na nie...

— Przeczytaj głośno — przerwał mu Mirek.

Boguta zaczął czytać równym głosem, wyraźnie.

— Jesteśmy armią i wobec powagi rozgrywających się wydarzeń, żądamy spojrzenia na nie z punktu widzenia potrzeb walki. Porozumienie wojskowe z dowództwem Armii Radzieckiej jest koniecznością nie dni lecz godzin. Bohaterskie oddziały broniące barykad stolicy muszą być taktycznie podporządkowane dowództwu radzieckiemu, gdyż tylko w ten sposób nasz wszelki wysiłek może mieć jakiś sens militarny, może być celowy i skuteczny. Niezwłocznego nawiązania pełnej i bez zastrzeżeń współpracy wojskowej z Armią Czerwoną żąda społeczeństwo, którego głos rozlega się coraz donośniej.

Porucznik Mirek energicznie złożył gazetę i schował w zanadrze.

— A on powiada: — tere-fere kuku... od razu wszystko było uzgodnione.

— Pokazywałem ci przecież, co nasi wtedy pisali. Dla mnie zarówno jedno jak i drugie... — zakończył krótkim westchnieniem.

— Acha... — wieloznacznie uciął Mirek.

Kapitan Smuga zwrócił się do Boguty.

— Ale wy przecież słyszeliście o powstaniu, nie?

— Dowiedzieliśmy się... jakoś zaraz po wybuchu.

Kapitan Litwiniak, który jeszcze raz obmacywał swoją nogę, wyprostował się i stanął przed Smugą patrząc mu w oczy.

— A wy słyszeli chyba, że Niemcy byli już pod Moskwą i pod Stalingradem. I chyba nie przypuszczacie, że sami się rozmyślili i zawrócili. Ostatnia nasza ofensywa zaczęła się na Wołyniu. Paręset kilometrów i ciągle w bojach. Jak wam się zdaje — mogło braknąć sił? U nas też nie Achillesowie walczą, tylko zwykli śmiertelnicy. Cudów nie ma. Zrozumiałe, że dla was ten kawałeczek ziemi jest pępkiem świata i wojny. Zupełnie zrozumiałe, ale... trzeba pojmować szerzej. Po ludzku.

Kapitan Smuga podniósł głowę.

— Jestem żołnierzem i walczę. Moi ludzie również.

— I my widzim, że walczycie. Ale to tylko połowa sprawy... No, ale nie teraz pora... — niecierpliwie zmienił ton kapitan Litwiniak. — Jakie są ostatnie rozkazy waszego dowództwa?

— Nie ma żadnych.

— Jak to?! — zdumiał się Litwiniak okropnie.

— Podobno walczą jeszcze gdzieś na Kruczej, na Starówce, na Żoliborzu, ale...

— Podobno walczą... A gdzie dowództwo i co robi?

— Nic nie wiem.

Litwiniak aż podskoczył. Zaciśniętą pięścią żgając ku ziemi, jakby ją chciał rozbić kułakiem, zaczął krzyczeć:

— Tu! Tu teraz najważniejsze! Utrzymać przyczółek, rozszerzyć, przerzucić większe siły, umożliwić przeprawę broni ciężkiej i wziąć miasto... A wy mi tu o jakiejś Kruczej, czort ją zabieri!...

Widząc bezradnie rozłożone ręce kapitana Smugi opamiętał się. Zrozumiał, że pretensje do niego są przecież nieuzasadnione. Zakręcił się po piwnicy, popatrzył w twarze zebranym oficerom. Mruknął jeszcze — Krucza... Krucza... żeby więcej ludzi wymordować niepotrzebnie...

Za ścianami gęsto terkotały karabiny i grzmiały silne eksplozje. Litwiniak, jakby nagle opamiętawszy się, stanął przed Smugą.

— Gdzie przede wszystkim potrzebne wsparcie?

— Przede wszystkim na Zagórnej, panie kapitanie... Chodzi o szpital. Tam niedawno straciliśmy ważne pozycje...

— Bąbel z przydzielonym plutonem cekaemów i rusznic.

— U mnie zostało tylko dwa cekaemy — wyjaśnił podporucznik Bąbel.

— Trudno... — przeciął Litwiniak. — Później się rozejrzymy w sytuacji. Dajcie kogoś, żeby ich doprowadził.

— Podporucznik Cyma.

Wymienieni oficerowie wyszli niezwłocznie.

— I jeszcze gdzie?

— I na Wilanowską, na prawe skrzydło, panie kapitanie.

— I jeszcze gdzie?

— Przede wszystkim tu. Od frontu jest lżej.

— Pierwsza — krótko uciął Litwiniak.

— Rączka — jak echo odpowiedział Smuga.

Boguta wysunął się z kąta.

— Ja pójdę z nimi.

— Dobra. Trzecia zostaje w rezerwie.

Trzecia najbardziej ucierpiała na przeprawie i właściwie niewiele z niej zostało. Dowódca zaczepił o pytające spojrzenie podporucznika Patka, dowódcy kompanii moździerzy.

— Wy musicie zaczekać, dopóki się nie zorientujemy bliżej w sytuacji. Na razie wybierzcie gdziekolwiek miejsce i zajmijcie pozycje. Min dużo przepłynęło?

— Niezbyt wiele...

— No, tak... Łączność zorganizować — zwrócił się do wchodzącego dowódcy plutonu łączności.

— Już poszli.

Radiotelegrafista, wywoławszy po raz któryś z rzędu swoje: Wołga! Wołga! Ja Wisła! Jak mnie słyszysz? Odbiór... — zwrócił się do kapitana.

— Odpowiedzieli, obywatelu kapitanie.

— To gdzieś w okolicach Łodzi.

— Toczno! W okolicach Łodzi. To daleko jeszcze?

— Jakieś... półtorej setki kilometrów.

— Sto pięćdziesiąt..

— Coś koło tego.. może mniej. A co panu kapitanowi nagle Brzeziny?

— E, niczewo... — machnął ręką, jakby chciał coś od siebie odpędzić. Ale widząc wielkie, natarczywe zdumienie w oczach Smugi, wyjaśnił niedbale: — Tam urodził się i żył mój dziadek.

Zdziwienie Smugi przerodziło się w niedowierzanie. Po wymowie z miejsca przecież poznał, że to nie jest polski oficer. Ten fakt skojarzył mu się z tym, o czym często słyszał w swoim środowisku — że bolszewicy uczą się polskiego języka, żeby po wkroczeniu do Polski udawać Polaków. Słowa Litwiniaka poczytał za dalszy chwyt owej polityki.

— To ył dziadek po mieczu czy po kądzieli? — zapytał z trudnym do ukrycia odcieniem drwiny.

— Co to znaczy? — nie zrozumiał Litwiniak.

— No... jak się nazywał?

— Litwiniak. Szczepan Litwiniak. Za powstanie zesłany na Sybir i... tam się ożenił.

Smuga zachwiał się w swoich przypuszczeniach. Przecież to wszystko zupełnie możliwe... Zajrzał w oczy swemu rozmówcy i znalazł w nich głęboką, smętną zadumę, matowość, jaka pojawia się wtedy, kiedy myśli człowieka uciekają daleko.

Przechodzili przez usypisko cegły, z którego sterczały połamane futryny okien, i ledwo uchwycili bliski świst — przypadli w sękatych bruzdach boleśnie tłukąc kości. U stóp obrywiska huknęło raz bliżej, drugi raz dalej, zazgrzytały po



rys. St. Poznański

kamieniach odłamki, wzdął się czerwony tuman tak gęsty, że trzeba było wstrzymać oddech. Kiedy znowu stało się o tyle przejrzyście, że można było coś dojrzeć, Smuga z nieoczekiwaną trwogą popatrzył na Litwiniaka. Dlaczego on się nie podnosi?... Już chciał krzyczeć ale właśnie Litwiniak wsadził palec w ucho i zaczął nim wiercić.

— Co panu się stało, panie kapitanie?!

— Nic. W uchu zadzwoniło... — chłodno odrzekł Litwiniak. — I ja tak, widzicie, czasem myślę o tym, żeby do tych Brzezin jakoś dojść. Popatrzeć. Może ludzie pamiętają, może ktoś z rodziny...

Tyle smętnej szczerości było w jego głosie, że Smuga poczuł jakieś nieokreślone, przygnębiające wzruszenie. Poderwał się prędko i ujął Litwiniaka pod ramiona chcąc go podnieść.

— Panu naprawdę nic się nie stało? — krzyczał niespokojnie.

Litwiniak stanął na nogi jak sprężyna.

— Widzicie, że nic... — zaśmiał się niezręcznie. — A potem to mogę już... już mi wszystko jedno.

— Dojdziemy, kapitanie, dojdziemy, nie tylko do Brzezin.

— Na pewno dojdziem... — sucho zgodził się kapitan. — Tylko nie wszyscy...

Smugę opadły splątane uczucia. I żal, i współczucie, i przerażenie. Falą oblała go czerstwa sympatia do tego przecież obcego i nagle jakoś bliskiego człowieka, a jego smętny nastrój zabolał go i przeraził równocześnie. Jakiż będzie pożytek z takiego dowódcy?...

Szli dalej w milczeniu, aż Smuga nie mógł zgnieść w sobie nurtujących go myśli.

— A nam tu mówili, że bolszewicy uczą się polskiego języka, żeby udawać Polaków.

Litwiniak wygiął wargi w uśmiechu niezbyt oddającym pogardę, jaką chciał wyrazić.

— Nasi oficerowie uczą się polskiego języka, żeby móc się porozumieć z polskim żołnierzem.

...Nasi oficerowie... — powtórzył sobie Smuga w duszy. — Więc kim ty jesteś? Dziadka miałeś powstańca, wzdychasz do Brzezin, a mówisz — nasi oficerowie...

— Nie każdemu się to jednakowo udaje, ta nauka — jakby dla jasności dodał Litwiniak. — Ale gdzie człowiek człowieka chce zrozumieć, tam język mało ważny... — i wymownie popatrzył Smudze w oczy.

Smuga nie uciekł przed tym spojrzeniem. Po ostatnich słowach dojrzała w nim ufność, tak bardzo potrzebna człowiekowi.

Bogdan Hamera

(Fragment powieści „Śladami czołgów")

Opowieść o bugdołowym byku

Dokończenie ze str. 3-iej

dyrektorskie szaleństwo. A poza tym to było zdaje się tak: Osowski tłumaczył kiedyś przy wrębówce Winklerowi, jak to chodzi „Donbass", że ma on mechanizm rozdzielający napęd na ładownik i wrębnik. — A w tym miejscu... — pokazywał na wymaginowaną, wspaniałą radziecką maszynę.

Bugdoł przysłuchiwał się rozmowie górników, wiedział, czego czekają. Nie chciał, żeby czekali zbyt długo.

— A no rośnie, rośnie nasza nowa inteligencja techniczna — komentowali wkrótce potem inżynierowie z różnych komisji, pochylając się nad Bugdołowym projektem. Wrzało w kopalniach, instytutach i w fabryce maszyn, gdzie już po roku budował się pierwszy polski kombajn.

I teraz co? Do rzyci! Dla satysfakcji oportunistów? Zresztą pies tańcował z ich satysfakcją! Zwycięstwo oportunistów to zwycięstwo burżuazyjnego, poniżającego robotnika mitu o ograniczoności jego siły twórczej, to zwycięstwo teorii o obiektywnych granicach rozwoju technicznego, o nieprzekraczalności tych granic...

Czy taki na przykład rutyniarz Łebedyński jest wrogiem? — myślał Bugdoł. — Czy świadomie sabotuje postęp? Nie. Ale jest nieprzejednanym rzecznikiem tego, co wrosło w niego na amen, jest rzecznikiem (jak to ten pieron mówi?) „proporcjonalności i współmierności postępu..."

Bernard Bugdoł w długich godzinach rozmyślań o owej gorącej i smutnej nocy nieudanej proby z kombajnem zrozumiał, że walka o to, czy kombajn pójdzie czy nie, jest walką światopoglądów. Bernard Bugdoł, przedwojenny KZMP-owiec, Bernard Bugdoł, zwycięzca Pstrowskiego, Bernard Bugdoł — nowy człowiek, nie może dziś kapitulować przed ludźmi z przeszłego świata.

Bugdoł wracał do domu świtem mokrym i wietrznym. Wysoko uniósł kołnierz palta. Starał się zająć myśl czym innym, ale kombajnowa sprawa wracała i rysowała się pod piekącymi powiekami bolesną wizją... — Do rzyci — mówi Osowski. — Co do rzyci... pierwszy polski kombajn? A może to on, dyrektor Bernard Bugdoł jest do niczego? On, którego opętała taka myśl, on, nie uczony przecież człowiek. Technikum, no tak, ale co to znaczy w porównaniu z latami studiów i doświadczeniem takiego Łebedyńskiego?

A załoga? Mówią „bugdołowy byk", ale większość wierzy przecież w tego byka i wierzy w Bugdoła. No, skończyła się wiara. Wszystko do... niech tam sobie triumfuje Łebedyński, Lipko i w ogóle kto chce. Ale... przeciągną na stronę swojej opinii resztę, przede wszystkich tych, którzy z zaciekawieniem tylko przyglądają się bugdołowym eksperymentom... I to będzie koniec mechanizacji na kopalni „Zabrze-Zachód". Tak — Kw-57 to nie tylko sprawa Bernarda Bugdoła, jego ambicji i autorytetu. To sprawa oczywiście polityczna.

*

Przed laty, kiedy ojciec wracał z szychty nieludzko zmęczony, tak że mu się ani nie chciało posiorbać chudej zalewajki, tylko walił się wprost na łóżko, mały Bernard myślał: a gdyby to tak, jak w tym automacie z waflami? Wrzuca się 20 groszy i wyskakuje wafel. Raz, z okazji jakiegoś rodzinnego święta, dziesięcioletni Bernard zafundował sobie tę rozkosz. Rozkosz nie tyle płynącą ze smakowania kawałka oblepionego czekoladową polituрą ciasta, ile właśnie z tego pociągnięcia rączką. Wtedy Bernard nie potrafił jeszcze powiązać z sobą dwóch faktów: że z chwilą zainstalowania automatu panienka w kiosku na dworcu w Chropaczowie straciła pracę. Chodziła potem smutna i usiłowała sprzedawać pocztówki, których nikt nie kupował...

Mały Bernard nie wiedział wówczas, że w tym czasie, kiedy w Polsce czekoladowe automaciki skazywały ludzi na głód, że w tym czasie, kiedy ojciec stracił pracę, w Związku Radzieckim ruszyły pierwsze kombajny węglowe, które przejęły od ludzi bolesny ojcowy trud, a chleba nie tylko ludziom nie odebrały, ale go jeszcze przysporzyły.

Automat do wafli — jest już tylko wspomnieniem. Jest rok 1949. 27-letni Bernard Bugdoł objął dyrekcję kopalni „Zabrze-Zachód".

*

Strop wytrzymał, ale uskoki dochodzące do 80 cm blokowały wrąb, ale częste postoje i awarie maszyny sprawiały żółwie tempo posuwu. Cztery dni męczyli się z tym cholernym bykiem, zanim przeszli całą długość frontu. Wywindowali maszynę na powierzchnię. Raz jeszcze i jeszcze raz przejrzeli każdą śrubkę tak, że każdy z nich mógłby z zamkniętymi oczami rozebrać i złożyć Kw-57. Podokręcali wszystko i zjechali z kombajnem na dół. Lepiej już poszło, chociaż postoje i naprawy redukowały wartość kombajna do wartości pracy dobrej brygady ścianowej. Trwali w napięciu, idąc za swoją ukochaną a tak niewdzięczną maszyną, uczuleni na każdą arytmię jej oddechu, gotowi do szybkiej, sprawnej pomocy. Nie, to nie było żadne cudo ten bugdołowy byk. Opozycja wyszła już ze stadium drwin i dowcipów. Opozycja widziała, że mimo wszystko Kw-57 zwycięża. Opozycja przeszła do kontrofensywy wprost. Zagrożenie stropów, bezpieczeństwo kopalni, przerwa w pracy kombajnu — grozi śmiercią! Judzono przeciw Bugdołowi partię, ale partia nie opuściła Bugdoła. W walce o opinię partii musiał ustąpić Łebedyński. Odszedł złamany i „rozbrojony" (jak sam mówił), „nie ponoszący za nic odpowiedzialności".

Inż. Piotr Fedulicz Zawadiswieczka, radziecki spec, który przyjechał do Polski przywożąc pierwsze „donbassy", już od dwóch godzin patrzył na robotę Kw-57. Patrzył i kiwał głową, to przecząco, to potakująco. Milczał. Bugdoł odpalał papierosa od papierosa i ręce mu się trzęsły. Osowski wygrzebywał z lamusa pamięci rosyjskie terminy techniczne, których wyuczył się jeszcze w czasie marszu na Berlin wraz z radzieckimi czołgistami. Kombajn jakby rozumiał, że zdaje egzamin przed człowiekiem, który zmechanizował więcej kopalni niż jest ich w ogóle w Polsce — więc uczciwie pokazywał wszystkie swoje wady i zalety.

— Da. Wot i uśpiech, mołodcy wy — odezwał się wreszcie radziecki spec i trzepnął polskiego kolegę po plecach.

— Eto znaczyt — spróbował ostrożnie Bugdoł swoją okropną górnośląską ruszczyzną...

— Znaczyt: brawo towariszcz direktor. A wy ten pomysł skąd? Tak ot, z naszej literatury?

Więc to dlatego trzaska łańcuch wrębnika, że noże nie są ustawione na ramie w jednym ciągu, tylko po 7 w odstępach. To niby daje na pozór szybszy wrąb, ale zwiększa siłę uderzenia w osadę noży i rwie łańcuchy. Osowski, choć spec, ale jeszcze błędnie steruje, źle gospodarzy obrotami, idzie na najwyższych i forsuje sprzęgło, a poza tym — dlaczego tylko dwie tarcze kruszące?

Gdyby były trzy, to siła oporu miałaby większą płaszczyznę... trzeba zrobić trzecią tarczę. Nie, nie potrzeba do fabryki, można tu w warsztacie, on, Piotr Fedulicz, pomoże im, bo zaciekawiło go to, co tutaj zobaczył. Da, bratcy!

*

Kombajn idzie upadem jak czołg w natarciu. Równo, mocno, bez przerw. Wali 40 ton na szychtę, orze moskalikową ścianę od końca do końca i robi cykl na dobę. Tutaj należałoby opisać bugdołowe zwycięstwo nie słowami raportu, a chyba wierszem epicznym.

Ścianami kopalni „Zabrze-Zachód" idą już 4 kombajny. W jasnych, długich halach fabryki maszyn idzie seryjna produkcja polskiego kombajnu Kw-52, ulepszonego kombajnu Kw-57, wyrosłego z bugdołowej radości i rozpaczy, wyrosłego z wielkiej walki politycznej między starymi i nowy mi ludźmi.

Osowski, Winkler, Skrzypczyk jadą kombajnami do mety 6-latki coraz szybciej. Już nie w 12 godzin przejeżdżają trasę cyklu, a w siedem; już łopaty i kilofy z kopalni „Zabrze-Zachód" i dziesiątków innych kopalń wyjeżdżają raz na zawsze na wierzch do magazynów zarzuconych przestarzałymi narzędziami.

*

„Zespołową nagrodę państwową II stopnia otrzymali: dyrektor Bernard Bugdoł, inż. Stanisław Kempiński oraz kombajnerzy: Jakub Osowski i Wojciech Winkler za wprowadzenie kombajnów na kopalnię „Zabrze-Zachód", zastosowanie cennych pomysłów racjonalizatorskich i osiągnięcie wysokiej wydajności" — takim niekiedy suchym urzędowym językiem przemawia żarliwa i porywająca w treści poezja, poezja naszych dni, niezwalczona młoda poezja szturmu, zwycięstwa nowego nad starym.

Stanisław Broszkiewicz

STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW

ULICA SIENNA

Za czasów mego dzieciństwa była to dosyć smutna i zaniedbana ulica. Od Sosnowej do Żelaznej w ogóle się nią nie chodziło, zwłaszcza wieczorem. Długie szeregi wysokich, ciemnych parkanów, brak kamienic, rzadkie latarnie gazowe, pustka i głusza czyniły ją obcą i odstręczającą. W kierunku Marszałkowskiej była trochę lepiej zabudowana. Na rogu Sosnowej rozpościerał się ogromny, ogrodzony plac, ze stajniami i mieszkalnym barakiem w głębi. Na placu tym zawsze pełno było wyprzęgniętych długich i masywnych wozów ciężarowych; przewożono na nich wielkie paki, beczki z naftą lub głowami cukru, bele papieru.

Dalej stała jakaś fabryka, oddzielona od ulicy ceglanym okopconym murem. Po przeciwnej stronie wyrosła mała kamieniczka, z której zawsze buchał ciepły zapach pieczywa, a często — mijając ją — można było widzieć w bramie Żydka-piekarczyka, jak ustawiał na kozłach długie deski z rzędami bladych bułeczek do wyrośnięcia. Twarz umączonego piekarczyka miała kolor żółtawo-siny, bliźniaczo podobny do wynoszonych przez niego bułek. Tylko para małych ciemnych oczu błyszczała w niej jak dwa rodzynki w cieście.

Dalej było kilka bezbarwnych kamienic i dużo starych parterowych domków, osiadłych w ziemię, krytych papą, która ze starości zapadała się faliście między krokwiami jak źle naciągnięte płótno. Zwykle po tych dachach, które doskonale można było obserwować z ulicy, spacerowały koty, zaglądając bacznie na strych przez wąskie otwory, dziwnie podobne do ślepych oczu, zagasłych pod ciężką powieką z papy. Pamiętam, że z jednego okienka takiej rudery przez długie miesiące zwisały na dach, aż do rynny, wyschłe zwłoki jakiegoś stworzenia, może kota, może zaduszonego przez koty szczura. Nikt ich nie usunął, zniknęły razem z walącym się domkiem, który nareszcie musiano rozebrać.

W tych drewnianych pudłach, o sieniach buchających odorem kapusty, mydlin, gwarem dzieci i kłótniami dorosłych, mieszkała wyrobnicza i rzemieślnicza biedota. Drobne okienka, o tęczujących ze starości szybkach, były przesłonięte tandetnymi firankami, a na spróchniałych parapetach kwitły fuksje, geranium, „głupi Jasio". W niedzielę z rana z czysto wymiecionych i wysypanych piaskiem sieni wyfruwały na miasto dziewczęta o zgrabnych stopach wysznurowanych taliach, córki szewców, bednarzy, stolarzy, maglarek, młode praczki, prasowaczki, podręczne, ekspedientki okolicznych sklepików, ufryzowane, pachnące mydłem Pulsa, czasem buchające tanimi perfumami, jak sklep fryzjerski, ubrane odświętnie ale nie jaskrawo, z wielkomiejską, dyskretną elegancją rodowitych Warszawianek. Rzucając zza woalek powłóczyste spojrzenia, szły do kościoła, a potem ze swymi kawalerami na Nowy Świat, gdzie odbywał się t.zw. „przegląd katolicki".

Romantyczną dolę jednej z takich naiwnych szwaczuszek przedstawił Ignacy Dąbrowski w swojej „Felce", pierwszej przed „Dziewczętami z Nowolipek" Gojawiczyńskiej, książce o drobnej mieszczaneczce warszawskiej. W dzień powszedni te wszystkie barwne motyle zamieniały się w szare mrówki. Na ulicy Siennej nie było ich widać.

Między Wielką a Marszałkowską zaczynały się na Siennej sklepy. Nie było zresztą między nimi żadnych wykwintnych magazynów. Kwiaciarnie, fryzjerzy damscy, składy materiałów łokciowych zjawiły się tam znacznie później.

Ale na samym rogu Marszałkowskiej i Siennej w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku otwarto sklep kolonialny, który głęboko utkwił w mojej dziecinnej pamięci. Przede wszystkim w oknie wystawowym od Marszałkowskiej stało akwarium, przed którym gromadził się zawsze tłum dzieciarni. Należałam do tych uprzywilejowanych, którzy mogli do woli napawać się widokiem zwinnych, złotych rybek z wnętrza sklepu. Matka moja lubiła tam właśnie zaopatrywać się w wykwintniejsze przysmaki z okazji jakiegoś przyjęcia w domu.

Zdaje się, że wybór jej był trafny. Sam widok właściciela budził zaufanie do jego towaru. Był to pulchny jegomość w sile wieku, rozmowny i ruchliwy, o okrągłej, gładko wygolonej twarzy. Olśniewająca świeżość jego cery podnosiła jeszcze gęsta srebrna czupryna. Z jego miękko wymodelowanych warg, jakby stworzonych do delektowania się łakociami, wychodził niski, aksamitny głos, którym kusił, zachwalając swe przysmaki.

Lubiłam na niego patrzeć, kiedy wielkim nożem płatał olbrzymi krąg szwajcarskiego sera i ukazując ażurowe jego wnętrze, ociekające tłuszczem, mówił z lubością:

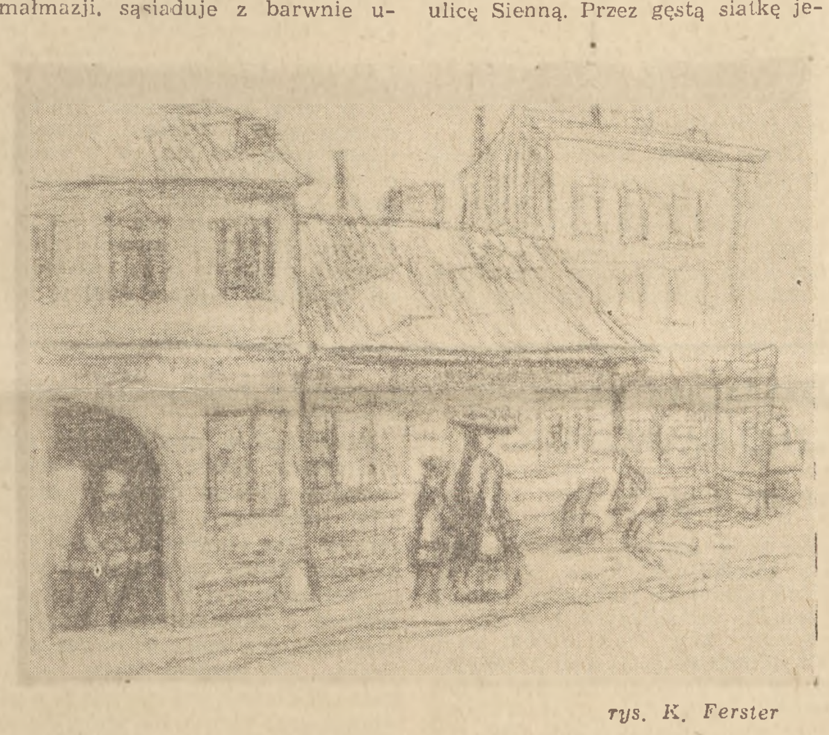
— Niech pani spojrzy, co za „łezka"!

I, jakże stawał się wymowny, gdy trzeba było słowami określić „bukiet" tokaju, aromat marmolady, albo zalety czarnego, gruboziarnistego kawioru! Rozprawiał o przysmakach z taką miłością, z jaką bibliofil mówi o białych krukach, antykwariusz o starej porcelanie, a dandys o najmodniejszym kroju fraka. Mówiono o nim, że pochodzi ze sfery ziemiańskiej i że — przejadłszy majątek — odnalazł właściwe swe powołanie za ladą kupca korzennego. Jednocześnie stał się jego żywą reklamą.

Jego wizerunek nie byłby kompletny, gdybym pominęła jego kota. Był to prześliczny, szaro-biały puszysty kot-angora — milczący i nieruchomy sobowtór swego pana. Siadywał zwykle z podwiniętymi łapkami w dostojnej hieratycznej pozie na ladzie obok kantorka, albo wprost na kantorku; pozornie obojętny, z przymrużonymi oczami śledził z góry ruchy klientów. Dumny i pogardliwy, był uosobieniem godności tego sklepu.

Nie wiem dlaczego, ale bardzo lubiłam patrzeć na pana Zahorskiego i jego kota. Nie nudziłam się wcale, gdy wdawał się z moją matką w rozmowę o sposobie przyrządzania rozmaitych potraw. Nie interesowała mnie treść jego słów, tylko jego postać, wymowa, dźwięk głosu, ruchy drobnych, pulchnych dłoni.

Później dopiero, znacznie później zrozumiałam, na czym polegał czar, jaki na małą dziewczynkę wywierał ten starszy obcy pan i jego kot. Oto po prostu ci dwaj tworzyli artystyczną syntezę pewnych cech i upodobań ludzkich, które później, znacznie później, nauczyłam się określać mianem sybarytyzmu, byli w wyrazie, w formie, w rytmie doskonale zharmonizowani, byli niejako żywym dopełnieniem tych holenderskich „martwych natur", na których kryształowy puchar, pełen bursztynowej małmazji, sąsiaduje z barwnie upierzonym bażantem i złocistym ananasem.



rys. K. Ferster

Nie umiałam jeszcze wówczas skojarzyć źródeł tych dwóch krańcowo przeciwnych sobie zjawisk społecznych: gruźliczego piekarczyka i wypasionego kota — dwóch mieszkańców ulicy Siennej, nie mogłam jeszcze wiedzieć, że ich istnienia były wykwitem tego samego ustroju kapitalistycznego, który wkrótce miał zaciążyć nad najpiękniejszymi latami mojej młodości.

Nad ulicą Sienną przeszedł rok 1905, jak krótkotrwała, ale ożywcza burza wiosenna. Przewaliła się wojna europejska. „Wybuchła niepodległość". Ale oblicze ulicy Siennej mało się zmieniło. Zawsze wegetowała na marginesie życia stolicy. Równoległa do niej ulica Złota, przez którą ze zgrzytem przetaczały się tramwaje i szemrał potok ludzki, odciągała jej soki żywotne. Sienna wobec Złotej odgrywała ciągle rolę martwej łachy przy wąskiej, ale bystrej rzece.

Pod koniec dwudziestolecia ulica Sienna coraz częściej zaczęła wkraczać w pole mego widzenia. A stało się to dlatego, że w dalszych jej połaciach, na odcinku między Sosnową a Żelazną, znajomi nasi wybudowali sobie dom. A nie był to dom byle jaki. Nie tylko na ulicy Siennej mógł zwrócić uwagę niebanalnymi proporcjami i komfortowym wykończeniem wnętrza. Twórca jego i właściciel był wziętym architektem i zdolnym amatorem-malarzem. Żona architekta gromadziła w swoim domu cenne obiekty sztuki i chętnie zapraszała utalentowanych twórców obok rzetelnych pracowników kultury.

Nastał wrzesień 1939 roku. Pamiętam, jak dziś, wieczór rudy od łun, wstrząsany drgawkami pocisków i bomb lotniczych, ryczący nalotami. I czyjś okrzyk wśród naszej gromadki uchodźców z różnych dzielnic Warszawy:

— Patrzcie! Sienna się pali.

Sienna paliła się istotnie. Buchały stamtąd płomienie, wlokły się dymy, sączył się swąd spalenizny. Ale pożar nie strawił domu naszych przyjaciół. W parę miesięcy później zbieraliśmy się tam po dawnemu w ich zacisznym mieszkaniu, ogołoconym przezornie z dywanów i cenniejszych drobiazgów. Była zima roku 39/40, pamiętna zima siarczystych mrozów. Centralne ogrzewanie nie działało. Żelazny piecyk z rurą, wpuszczoną do kominka, który czasu pokoju miał raczej służyć do ozdoby, stanowił jedyne źródło ciepła dla całego mieszkania. Pan domu w kożuchu i słomianych kaloszach, jakie wdziewają na mróz wartownicy, malował w swej pracowni martwe natury i kopiował mistrzów włoskich. Pani krzepiła się lekturą Heinego. Zresztą życie obojga płynęło na razie bez poważniejszych wstrząsów.

Ale rychło u wylotu Siennej do Marszałkowskiej ukazał się napis: „Dzielnica zagrożona tyfusem, przejście wzbronione". Żeby dostać się na Sienną, trzeba było kołować ulicami. A potem było już wiadomo, że teren ten ma być włączony do getta. Pamiętam jedną dżdżystą i błotną niedzielę listopada, ostatnią niedzielę przed zamknięciem getta, kiedy poszłam pożegnać się z mymi przyjaciółmi na ulicę Sienną. Nie poznałam ich mieszkania. Z zacisznej siedziby zmieniło się w gwarny dom zajezdny, w którym tłoczyli się znajomi i przyjaciele gospodarzy, od jutra dożywotni więźniowie getta.

Byli raczej podnieceni niż zdenerwowani. W tym chaosie pytań, odpowiedzi, relacji i projektów nie było miejsca ani na patos, ani na rzewność, ani na rozczulanie się. Pożegnaliśmy się tak, jak ludzie, którzy rozjeżdżają się w dwa przeciwne kierunki i mało jest prawdopodobne, aby mieli się prędko zobaczyć.

Wiedliśmy z Karolem Irzykowskim, którego spotkałam na tej pożegnalnej wizycie, dobrnęli wreszcie do rogu Żelaznej, obróciłam się i spojrzałam jeszcze raz na ulicę Sienną. Przez gęstą siatkę jesiennego deszczu, wyłowioną z ciemności jaskrawym światłem narożnej latarni, czerniała pusta, mroczna, ponura, jakby szumiąca głucho bezlitosnymi drzewami nieistniejącego cmentarza...

Po roku 45 nic mnie nie ciągnęło do ulicy Siennej. Aż raptem, niespełna dwa lata temu, otrzymałam zaproszenie któregoś z teatrów kukiełkowych na przeróbkę sceniczną bajki Andersena „Nowa szata króla" do dawnego domu Stowarzyszenia Kupców przy ulicy Siennej. Kilkadziesiąt kroków wśród zadeptanych i porosłych chwastem gruzów przeniosło mnie w świat dzieciństwa, w świat pochłanianych chciwie bajek Andersena. Z nowym uczuciem słuchałam dawno zapomnianej opowieści o dwóch sprytnych chłopakach, którzy umieli wmówić w cały dwór, że utkali królowi nową wspaniałą szatę, widzialną tylko dla ludzi mądrych.

„Nowa szata króla", gdzie jeden szczery okrzyk dziecka: — Przecież król jest goły! — obala cały ten świat obłudy, zakłamania, pychy, próżniactwa i wyzysku, świat dawnej ulicy Siennej, świat wypasionych kupców i suchotniczych piekarczyków, tłustych kotów drzemiących pośród łakoci i rachitycznych dzieci, których wymarzonym przysmakiem była garstka pestek, kupiona za trzy grosze od ulicznej przekupki.

Ulico Sienna! I na ciebie przyjdzie kolej! Nad ruinami, porosłymi zielskiem, wystrzelą ku niebu żelazne żurawie, zazgrzytają konaczki, z przepaścistych dołów zaczną w oczach rosnąć ceglaste grzyby murów, oplecionych złocistą pajęczyna rusztowań.

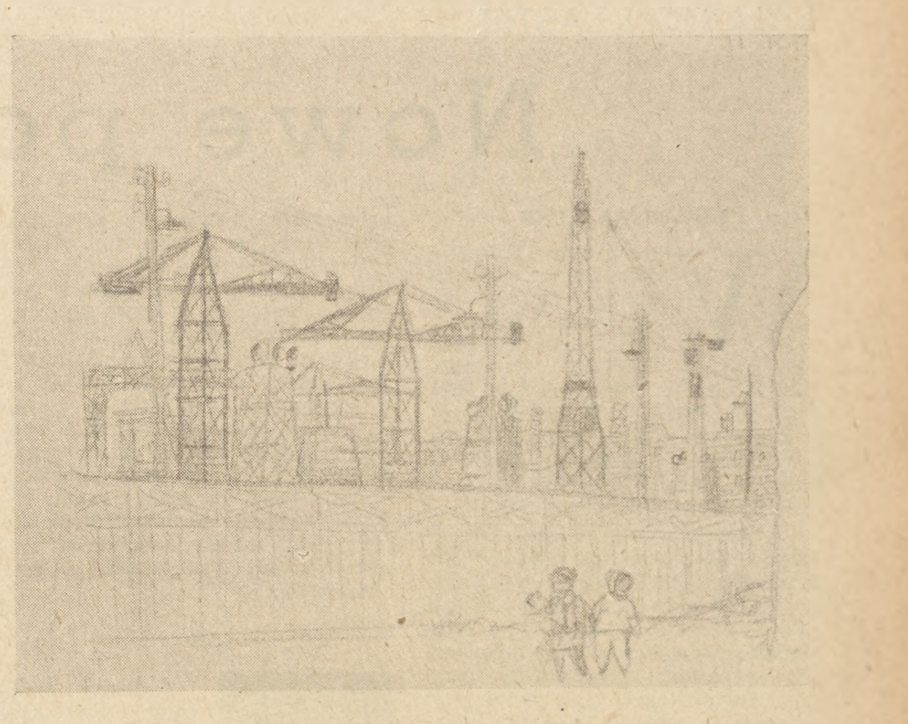
Nie obejrzysz się, aż tu z pachnących świeżym tynkiem sieni zaczną wyfruwać, niby barwne motyle, dziewczęta o smukłych nogach, błękitnych oczach i wesołym uśmiechu. Niby podobne do tamtych sprzed pół wieku, a jednak takie inne — szczęśliwe dziewczęta z nowej ulicy Siennej.

Tak pisałam z górą rok temu. Nie spodziewałam się, że marzenie tak szybko zacznie się urzeczywistniać, nie dość na tym — rzeczywistość w błyskawicznym tempie zacznie przerastać marzenie. Nie zdążyłam się obejrzeć, aż tu pewnego dnia całą okolicę ulicy Siennej otoczył parkan, zza parkanu dobiegał gwar licznych głosów, sapanie motorów, warkot ciągników, zgrzyty pił. Nocą rozkwitły nad placem pąki lamp elektrycznych, świetliste litery i znaki, jak nad terenem wielkiego ludowego festynu. Istotnie była to nie łada jaka uroczystość: zakładano fundamenty pod Pałac Kultury i Nauki.

Stałam olśniona przed parkanem, za którym jeszcze wczoraj rozciągało się martwe pobojowisko gruzów i w zadumie kiwałam głową.

— A co? Doczekałaś się, ulico Sienna, ty Kopciuszku Warszawy! I na ciebie przyszła kolej!

Stefania Podhorska-Okołów



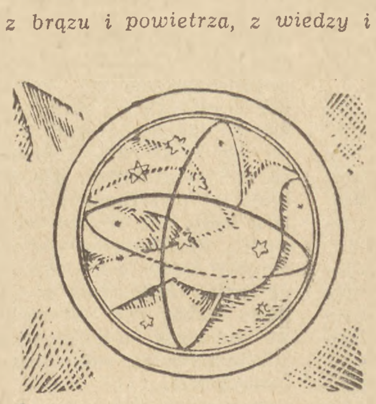
rys. K. Ferster

EFRAIN HUERTA)*

Z hiszpańskiego tłum. JERZY FICOWSKI

Gołębie nad Warszawą

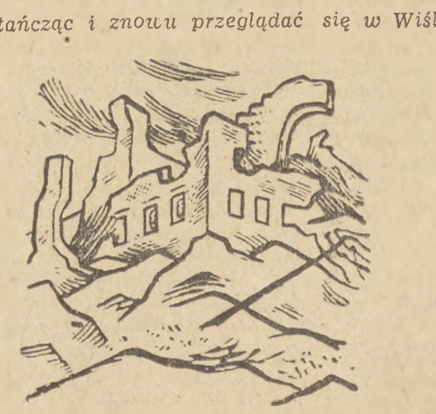
Rzuciła ku nam Wisła pętlę miłości
i w nią schwyciła nas.
A potem — oczy nie chciały w to uwierzyć.
Przybyłem do miasta, którego
strzegą mozaikowe anioły,
wskazujące godziny w Salonie Warszawy,
którego strzeże tajemnica kamiennych bloków,
wkroczyłem w cień szybkości, z jaką się rodzą kwiaty,
szedłem tam, gdzie kamienna
przekupka z kogutem w ręku
spogląda z wiecznym zamyśleniem,
gdzie nowa i smukła kolumna Zygmunta wyrosła
nad ciche stulecia starej Warszawy,
co się odrodziła ze swych własnych cegieł,
gdzie katedra oczy ku niebu wznosi,
gdzie kamienny Murzynek ni to się uśmiecha,
ni to płakać by chciał ze zgryzoty,
gdzie mur wyrasta, baszta przy baszcie,
a dalej — Kiliński, szewc dumny i groźny.
Miasto zburzone — i nagle
wspomnienie o Walterze, co ze swej rzeki wodę pije
pod milionem wrażych kul;
i dzielnica Muranów
na popiołach i kościach Getta wyrzeźbiona,
podźwignięta nad szlochem i cierpieniem,
a tam znów, w głębi, w alei Stalina
Chopin niewidzialny, Chopin
odebrany, widmo na swym
niebie trwające bez drgnienia,
i książki, i kasztany w kwiatach,
i bluszcz ruiny oplatający,
i posągi skruszone stalą,
i wreszcie na ekranie niewielkiego
kina obudzona Chopina młodość,
radosna, promieniejąca jak serce ludu,
i o zmierzchu patrzący ku Uniwersytetowi
Kopernik z brązu i powietrza, z wiedzy i geniuszu,



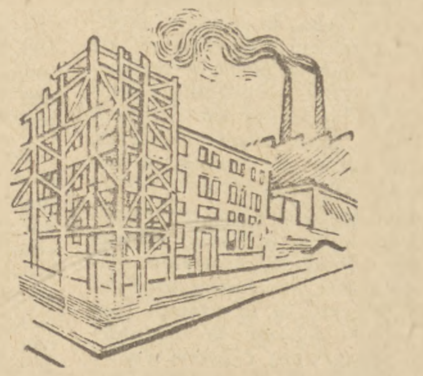
a już po chwili — magiczne akordy
(potok fortepianów i skrzypiec młodziutkich)
i architekci, inżynierowie, nie znający spoczynku,
i w klubach ludzie czytają i palą, poważni i dumni,
a mała dziewczynka, podobna do tulipanu czy róży,
prosi mnie o mój podpis w szkolnym zeszyciku
i odchodzi powoli, pełna błękitu, jak atlas geograficzny.

*

Oto, co widzę w Warszawie pewnego dnia majowego,
gdym przybył spod murów Kremla.
Tak oto widzę Warszawę, piękną syrenę zranioną.
Warszawę, co wyglądała jak ogród morderstw.
Warszawę, co wydarte serce rzuca w nurty rzeki.
Warszawę z sercem w potokach nowych ulic i alej.
Warszawę socjalistyczną, którą
przodownicy tworzą jak kryształ.
Warszawę młodzieńczą, co się pokonać nie dała.
Warszawę odrąbaną od korzeni.
Warszawę, co była posągiem dymu.
Warszawę, co zakasała rękawy, by się odrodzić,
by żyć tańcząc i znowu przeglądać się w Wiśle.



Wspaniała Warszawo. Wspaniała
perła, którą kryjesz w sercu.
wspaniała, pełna zieleni, pomniku pokoju.
Warszawo nowego chleba,
niepojętej symfonii fortepianów
zbudzonych o każdej porze
i tulipanu, co się rozrasta jak pieśń.
W którą me oczy nie chciały wierzyć,
która podeszła, biorąc mnie za rękę,
kasztanami i lipami otoczona,
wypełniona dźwiękiem młotów i kielni



i drzewem surowym, gładzonym misternie.
Piszę ci o tym naprędce, łzy czując i nadzieję.
Widzę cię — rośniesz, słyszę cię, rośniesz jak trawa,
stolico wieków pełna, matko murarzy,
matko marmuru i żelaza, młodych drzew
i cegieł, które dźwięczą chwałą.
Gołębie tu rozpościerają skrzydła i
znów wzniecają rytm miłości,
a młody inżynier jasnowłosy w słońcu
rzuca rozkaz, dyktuje kolejność przyszłych godzin.

*

W jednym skrzydle
tego miasta, pod gruzami
tysiące Żydów szepczą psalmy śmierci,
a szloch ogromny, jak przekleństwo,
lśni na granicie,
odbija się w brązie
To jest skrzydło gołębie.
Nazywali je: Getto.
Ma imię kości, które wapnieją,
krwi, która krzepnie,
łez, które stygną,
uśmiechu, który schnąć zaczyna,
miłości, której już nie ma,
zagłady i popiołu,
ofiar składanych Bogu,
smutku, jakiego dotąd nie było na świecie.
Tysiące istot ludzkich: miasto,
góra dusz i krzyku.
Dym i bluźnierstwo,
granaty,
karabiny,
ręce, coraz więcej rąk,
co w jednej zawrzały chwili,
niby piekło nienawiści i zemsty.
Oto jest skrzydło tego miasta:
rozpacz i proch,
ciemny posąg,
cmentarz,
ale i nowe, lśniące cegły,
siedem ramion nowego świecznika ze złota.
Ogrody już rozplanowane
i kwiatki drobne, które wzejdą,
uśmiechy nowe, które przybędą.
To już nie Getto.
To żywa ręka ciała Warszawy,
miasto, co było gołębiem,
a dziś jest tysiącem gołębi pod swym własnym niebem,
pod miodem i jedwabiem rąk Haliny i jej fortepianu,
zachwytu i marzenia;
pod blaskiem nowych świateł
przyszłości, która wzrok olśniewa.
Wspaniała Warszawo,
tyś pogodnym pomnikiem pokoju,
godłem zwycięstwa!

Maj 22—23 1952.

*) Poeta argentyński, który bawił w Polsce w ubiegłym roku.

SALOMON ŁASTIK

Nowe powieści marynistyczne

UWAGI WSTĘPNE

W niniejszym przeglądzie krytycznym zajmę się czterema powieściami. Będą to: „S/T SAMSON WYCHODZI W MORZE" Janusza Meissnera [1]), „KUTER NA STRĄDZIE" Lecha Bądkowskiego [2]), „ZAKRĘT PIĘCIU GWIZDKÓW" Franciszka Fenikowskiego [3]). oraz „ŚWIATŁO NA MASZCIE" Ireny Przewłockiej [4]).

Co charakteryzuje wszystkie te utwory? Wszystkie one zrodziły się z potrzeby przekazania nam nie tylko piękna morza czy Wybrzeża, ale przede wszystkim pokazania **człowieka,** świadomego swych obowiązków, z potrzeby zobrazowania osiągnięć i walk ludzi morza z żywiołem wodnym, z resztkami ideologii kapitalistycznej we własnej świadomości, jak i z wrogiem lądowym, który jest jeszcze bardziej niebezpieczny od żywiołu morskiego, gdyż jest wrogiem podstępnym; zrodziły się z chęci pokazania, jak ludzie świadomi celu pod przewodnictwem Partii i ZMP przekształcają oblicze naszego Wybrzeża, naszych statków, zwiększają normy pracy, zmieniają się sami; jak w walce z resztkami ideologii burżuazyjnej zwycięża moralność socjalistyczna; wreszcie z chęci pokazania roli naszej młodzieży, jej twórczego zapału i co najważniejsze: organizującej, mobilizującej roli Partii.

We wszystkich czterech powieściach stoją przed załogą wielkie trudności do pokonania, we wszystkich działa komórka partyjna itd., gdyż wszystkie te zjawiska i problemy jako zasadnicze elementy rzeczywistości wpływają na życie załóg i muszą zająć odpowiednie miejsce w obrazie rzeczywistości. Wiadomo też i nie marynistom, że szkwały, sztormy są zjawiskiem dość częstym na morzu i stanowią probierz wytrzymałości nie tylko statku, ale i załogi, i tak samo jak sztormy w tych powieściach mają różne nasilenie, tak samo różna jest reakcja na nie poszczególnych bohaterów.

A więc u Meissnera trawler, u Bądkowskiego kuter, u Fenikowskiego holownik, u Przewłockiej statek handlowy na rejsie, inni ludzie, inne załogi, a problemy są zasadniczo podobne i mają pokazać, ile trudności natury obiektywnej i subiektywnej trzeba pokonać, by dorosnąć do zadań i wymogów czasu, jak wiele znaczy partia w tworzeniu się nowego stosunku do pracy, w socjalistycznym współzawodnictwie. Trzeba również zaznaczyć, że w trzech powieściach widzimy już obraz nowej kobiety wypełniającej z powodzeniem męską pracę. I tak u Meissnera mamy technika wydziału naprawy, sympatyczną i pełną inicjatywy Krystynę Derkaczównę, u Bądkowskiego córkę rybacką, świadomą swych celów Kaszubkę Jadwigę Balaszównę i dzielną pracownicę biurową (też Kaszubkę) u Fenikowskiego; we wszystkich powieściach mamy do czynienia z wrogiem klasowym. Tak wyglądałyby podobieństwa powieści, ale są też i zasadnicze różnice.

OBRAZ CZŁOWIEKA MORZA

U **Meissnera** człowiek morza to odważny, nie tracący przytomności umysłu, zręczny i pomysłowy człowiek, zahartowany w walce z żywiołem, z trudnościami; człowiek nieco zarozumiały, ambitny, uczulony na okazałość, splendor i dowcip. Podobne rysy charakteru można było dojrzeć u bohaterów Meissnera już w lepszych jego utworach przedwojennych. Ale tam mieliśmy do czynienia z fascynującymi wyczynami sportowymi, bez wszelkiej podbudowy społeczno - ideowej, bez obrazu rzeczywistości lądowej... Jedyną sprawą realną był żywioł morski, sztormy i lodowce arktyczne, nieprzeparta wola przezwyciężania napotkanych trudności — nie było jednak określenia rzeczy najważniejszej: w imię czego się to czyni.

Zwrot i to poważny ku rzeczywistości nastąpił u Meissnera ze szczególną wyrazistością nie w „Sześciu z Daru Pomorza" [5]), chociaż i tu daje się zauważyć nasycenie utworu realiami z pierwszych lat po wyzwoleniu, lecz w powieści „S/T Samson wychodzi w morze". Jest to wybitna powieść „produkcyjna". Opowiada bowiem o trawlerze rybackim, na którym obejmuje szyprowstwo młody absolwent Szkoły Morskiej, człowiek pełen zapału, nieugiętej woli, który swą pracą przy połowach dalekomorskich potrafił nie tylko dorównać szyprom holenderskim, strzegącym jak oka w głowie sekretów ławic śledziowych, lecz nawet je prześcignąć. Mało tego: Meissner demonstruje tu moralną wyższość człowieka budującego socjalizm, powodowanego szlachetną ideą współzawodnictwa nad człowiekiem myślącym kategoriami burżuazyjnej konkurencji. Nie ominął on i tu sposobności pokazania sztormu: trawler wpada na wrak i grozi mu zatonięcie, ale wytrwała walka z niebezpieczeństwem, pomoc radzieckich marynarzy, upór w doprowadzeniu trawlera do portu macierzystego, jak i późniejsza ofiarna praca ludzi portu — nie jest już żadnym „wyczynem", lecz **walką** w imię realizacji planów, w imię szlachetnych, patriotycznych ideałów. Mamy w tej powieści i racjonalizatorską pracę, i zupełnie nowe oblicze kobiety — uczestnika w walce o Plan, świadomej swoich społecznych obowiązków; mamy prawdziwy obraz trudu przy połowach i piękno pracy na morzu; mamy radość z powodu osiągnięcia zamierzonego celu, wbrew sabotażowi różnych wrogów spod znaku „Miecza i Krzyża"...

*



Znajomy księgarz powiedział mi, że w kilka dni po ukazaniu się książki Meissnera została ona wyprzedana. Czy tylko Meissnera? — zapytałem. — Jak idą inne pozycje marynistyczne? Kto jest odbiorcą tej książki? — pokazałem wystawione na widocznym miejscu „Światło na maszcie" **Przewłockiej.**

Odpowiedź przyszła sama. Wszedł właśnie chłopak skromnie ubrany, położył 23,50 zł (!) i poprosił o tę książkę.

Księgarz dodał po odejściu klienta: „Jeśli jest to jego pierwsza zakupiona książka marynistyczna, to więcej już na tytuł nie da się nabrać"...

— Czytaliście?...

— Ot tak, z urzędu, muszę przecież wiedzieć, co proponować klientowi, i gdyby chłopak zapytał mnie, nie dałbym mu zachęcającej odpowiedzi...

Po przeczytaniu książki Przewłockiej sceptycyzm księgarza stał się dla mnie zrozumiały. Jest to książka o dużych aspiracjach, o szlachetnych intencjach, ale — jak wiadomo — same dobre intencje nie wystarczają, trzeba je realizować. A tutaj realizacja zamierzeń pozostawia wiele do życzenia. Głównym grzechem powieści Przewłockiej jest to, że nie pokazuje prawdziwych marynarzy, że nie ma u niej romantyki wielkiego, odważnego czynu, że marynarze przebywający w ciągu trzech miesięcy na statku handlowym „Wola" nie zostali pokazani i scharakteryzowani poprzez ich czyny, samodzielne myślenie, akcję, lecz poprzez dość bogato nafaszerowane biografie. Poczytność książki zmniejsza i to, że nie wiadomo dla kogo została ona napisana. O tym, że autorka miała na myśli szerszego czytelnika, aniżeli ludzi morza i Wybrzeża, świadczy fakt umieszczenia na końcu powieści obszernego słowniczka z tłumaczeniem użytej terminologii marynistycznej. Przewłocka chciała pokazać, jak wzrasta świadomość załogi dzięki organizującej roli partii, pokazać, jak bezsilni są wrogowie, nawet gdy zajmują kierownicze stanowiska na statku (kapitan, II oficer).

W powieści „Światła na maszcie" statek „Wola" znajduje się na rejsie trzy miesiące. W jego załodze przeważają starzy marynarze, mający już za sobą niejedno doświadczenie, i jeśli coś nie domaga na statku, to przyczyna tkwi chyba w kapitanie i niektórych oficerach, obco czy wręcz wrogo usposobionych do zmian dnia dzisiejszego, w pozostałościach kapitalistycznej ideologii w świadomości części załogi. To prawdopodobnie Przewłocka chciała pokazać — poprzestała jednak na drobnych kompleksach i kompleksikach ciążących na bohaterach pozytywnych. Zamiast wprowadzić nas w **typowe** konflikty marynistyczne, zamiast **pokazać** nam niezdrową atmosferę, autorka stwierdza, że na statku „intrygi, szepty, szczucia, błahe plotkarskie sprawy urastały do rozmiaru problemów wałkowanych godzinami. Kłamstwa, głupstwa, niezdrowe judzenie, oczernianie czy wybielanie jednych przed drugimi — oto wszystko co kotłowało się po kabinach spychając na dalszy plan prawdziwe bolączki". Jak widać nasz „model" marynarza został tu mocno zniekształcony. Czytając taką charakterystykę załogi odnosi się wrażenie, że mamy tu raczej do czynienia z przekupkami aniżeli z marynarzami.



O wiele bliższy ludziom morza jest **Lech Bądkowski.** Autor „Kutra na strądzie" chciał na przykładzie dziejów jednego kutra rybackiego, wyrzuconego podczas sztormu na mierzeję, zobrazować walkę z zastarzałymi nawykami prywatno - własnościowymi niektórych członków załogi kutra, pokazać robotę wroga klasowego, utrudniającego życie młodej spółdzielni rybackiej, i ofiarny trud załogi kutra — młodzieży ZMP-owskiej, która ściąga statek z mierzei. Mimo szeregu naiwności, rozgadania i gazetowego stylu, jakim przemawiają niektórzy bohaterowie, książkę tę czytamy w wielu partiach z zaciekawieniem, co świadczy, że autor widzi morze i ludzi morza, i potrafiłby w pełni pokazać romantykę pracy, ofiarność młodzieży, inicjatywę twórczą mas w sposób przekonujący, gdyby „Wydawnictwo Morskie" należycie popracowało z debiutującym autorem. Wtedy powieść nie liczyłaby co prawda 304 stronic, ale zyskałaby na jednolitości toku akcji, pozbyłaby się zapożyczeń z tanich powieścideł (mam na myśli postać wielkomiejskiej kokoty Milewskiej, którą autor sprowadza aż do osady rybackiej w Górkach Wielkich, by usidłała biednych rybaków...), a pozostałoby w niej to, co jest rzeczywiście ciekawe i odkrywcze. A spraw doniosłej wagi jest w tej powieści niemało: problem przywiązania starego rybaka Barlasza do prywatnej własności, problem przezwyciężania przesądu, że kobieta nie potrafi podołać trudom zawodu rybackiego, problem powstania załogi młodzieżowej, inicjatywa mas w dziele zagospodarowania Wybrzeża, racjonalizatorstwo, ofiarność robotnicza — to tylko kilka ze spraw, które organicznie wpłotły się w walkę o uratowanie kutra rybackiego dla młodej, mało doświadczonej spółdzielni, borykającej się z intrygami „wszechmogącego" właściciela „Polrybu", Zajdy.

Zaletą pióra młodego pisarza w lepszych partiach książki jest to, że potrafił nam dać i obraz morza, i Wybrzeża, że ukazał niektóre postacie młodych rybaków w działaniu, w akcji. Sam fakt, że autor unika charakterystyki przez biografię, lecz rysuje ją poprzez udział bohaterów w powieściowych wydarzeniach — świadczy dodatnio o możliwościach pisarskich Bądkowskiego. Niestety traktuje on postacie młodzieżowe dość epizodycznie, a powieściowy profil Jadwigi Barlaszówny zepsuł wprowadzeniem „mocnego" akcentu szantażu ze strony wszędobylskiego i przemożnego geszefciarza Zajdy. Jest to bardzo dzielna, pełna twórczej inicjatywy dziewczyna, świadoma i oddana członkini Z.M.P. Ale wydaje się autorowi, że to mało, każe jej więc nie zawiadamiać organizacji o takiej „drobnostce", jak chęć wymuszenia na niej drogą szantażu aktu sabotażowego i każe jej nie wychodzić do pracy, ofiarować cenną pamiątkę domową wrogowi, by wykupić siebie i ojca z rąk szantażysty, każe jej spazmować zamiast rozprawić się z łajdakiem, bo tak jest „ciekawiej"...

W POGONI ZA „ORYGINALNOŚCIĄ"



U Bądkowskiego jest to wypadek sporadyczny. Mamy jednak utwór, przy czytaniu którego odnosi się wrażenie, że autor właśnie to, co jest bardzo naturalne i najtrudniejsze do pokazania w sposób zajmujący — uważa za schematyzm. Myślę tu o powieści **Franciszka Fenikowskiego** „Zakręt pięciu gwizdków". Autor jak gdyby boi się obrać za bohatera chłopaka uczciwego, który zakochał się w równie uczciwej i skromnej dziewczynie, mniemając widocznie, iż byłoby schematyzmem, gdyby pokazał, jako pozytywnego bohatera, pracowitego, zdolnego, wzbogacającego swą wiedzę mechanika na holowniku. Otwiera drogę bardziej oryginalną, „antyschematyczną". Bierze jednostkę, według własnej opinii zepsutą, pijaczynę, obieżyświata, kobieciarza, i z niego usiłuje uczynić bohatera pozytywnego, **jemu,** który oddawał usługi szpiegowi Norbertowi, każe uratować statek gotowy do spuszczenia ze stoczni przez dywersanta.

Warto zastanowić się, skąd się bierze takie opaczne rozumienie oryginalności. W naszej krytyce słusznie wskazywano na brak życia u bohaterów, na to, że zachowują się oni biernie, że brak im bogatej biografii, głębi myśli, że ich wzloty, awanse idą według norm i praw ogólnych, nie biorą pod uwagę wewnętrznych treści rozwojowych jednostki, ale nikt nie miał chyba za złe autorom, że wybierają na bohaterów przede wszystkim ludzi w istocie swojej uczciwych, lubiących pracę, o mocnych uczuciach i silnej woli. Na odwrót, takich pełnokrwistych bohaterów chcemy, takich chce, ceni i stawia jako przykład nasza rzeczywistość.

Paweł Daniec mógłby się przeobrazić pod wpływem pięknej rzeczywistości, ale w takim wypadku autor winien go już na początku wyposażyć w jedno chociaż głębsze uczucie, które uprzednio w rozmaitych portach i spelunkach nie mogło dojrzeć, a w naszej rzeczywistości znalazło sprzyjającą glebę i zaczęło się rozwijać. Mogłoby to być niezadowolenie ze swego trybu życia poza krajem, uczucie doznanej krzywdy na obczyźnie, tęsknota do kraju, w każdym bądź razie jakikolwiek rys pozytywny, tkwiący w nim już wcześniej. Ale chłopak, który żyje wyłącznie w świecie przygód, których po blisko dziesięciu latach rozłąki z krajem czuje się w nim zupełnie obco, który czuje sympatię do szpiega Berta, nie może z taką łatwością stać się bohaterem pozytywnym, jak to ma miejsce u Fenikowskiego.

Rozbudowanie wątków miłosnych braci Piotra i Pawła, które nikłą zaledwie nicią wiążą się z pracą stoczniowców, stwarza dwutorowość powieści, rozsadza, umniejsza i zaciemnia obraz stoczni i jej ludzi, sprawę, która nas najbardziej w „Zakręcie pięciu gwizdków" interesuje. Wielotorowość akcji jest zresztą charakterystyczna dla wszystkich początkujących prozaików - marynistów. Nie wiadomo, dlaczego uważają oni za konieczne „jednym tchem" wpakować do powieści wszystko, co widzieli czy tylko słyszeli o ludziach i sprawach morza... W „Zakręcie" są rozdziały ciekawe, barwne (dyskusja Piotra w domu artystki o sztuce, scena w barze i inne), ale dążenie do źle pojętej oryginalności, dobór niewłaściwego bohatera zaważył w sposób istotny na wartości pracy.

CZY WRÓG KLASOWY JEST GŁUPI?

To pytanie nieodparcie nasuwało mi się podczas czytania naszych powieści marynistycznych. Wydaje mi się, że obiektywnie rzecz biorąc — tak. Człowiek, który jest na tyle zaślepiony, że nie dotrzega marności swego wysiłku, nieuchronności zguby — nie jest chyba mądry. Jest on głupi na tyle, na ile zaślepia go nienawiść do rzeczywistości. Ale nie można powiedzieć, żeby wrogowie również i subiektywnie byli tak niemądrzy i nierozważni, by wszem i wobec swoją wrogość deklarować...

Czy wróg klasowy musi być łajdakiem spod ciemnej gwiazdy? Obiektywnie nim jest, ale w swoim przekonaniu może być zupełnie „porządnym człowiekiem". Tak jest często w rzeczywistości, ale tak nie jest w naszej twórczości marynistycznej. Wszyscy wrogowie są tu **świadomymi** łajdakami, wszyscy działają tak bezczelnie, jakby znajdowali się w Ameryce, a nie w kraju władzy ludowej, wszyscy są albo erotomanami (u Meissnera), albo pijakami (u Przewłockiej, Fenikowskiego), albo rozgadanymi chciwcami i świadomymi łajdakami (u Bądkowskiego i — dodajmy jeszcze jeden przykład nie omawianej tu książki — „W stoczni" Rybarskiego). Wszyscy jakoś działają bezkarnie, aczkolwiek nie ukrywają swojej wrogości. Są doprawdy „bardzo szczerzy". Gdyby obraz naszych wrogów rzeczywiście odpowiadał wrogom z książek, nie potrzeba by zaostrzenia czujności, o której tyle się u nas mówi. Agenci obcych wywiadów (tacy jak Bert Fenikowskiego), wrogowie klasowi, którzy by chcieli za wszelką cenę zniweczyć nasze wysiłki (Życki Meissnera, Zajda Bądkowskiego czy Malicki Przewłockiej) działają w rzeczywistości o wiele mądrzej niż to ma miejsce w naszych powieściach.

Wrogowie w naszych powieściach marynistycznych to postaci, których nie ma potrzeby demaskować. Sami demaskują się na każdym kroku i jeśli już nie wpadają na początku powieści w ręce sprawiedliwości, to dzieje się to wyłącznie ze względów kompozycyjnych, a nie życiowych. Jak dotychczas powieści nasze nie zbyt mocno atakują nas myślowo. Ale i tu spotykamy pewną żywą prawdę doniosłej wagi. W omówionych powieściach widać, jak bardzo maleje zasięg możliwości rekrutacyjnych naszych wrogów, jak wzmaga się czujność załogi. Ten tak ważny fakt bardzo udatnie wychodzi w „Zakręcie pięciu gwizdków". Znajdujemy go też w pozostałych powieściach.

*

Czy mamy już powieść marynistyczną? Ze znacznej ilości wypowiedzianych tu uwag można by sądzić, że jeszcze nam do niej daleko. Rzeczywiście dalecy jesteśmy od twierdzenia, że omówione powieści są już znacznym osiągnięciem. Podkreślając jednak zalety utworów zarówno doświadczonego pisarza, jak paru debiutujących prozaików, możemy stwierdzić, iż mamy już **zapowiedź** współczesnej literatury marynistycznej, że pierwsze lody zostały przełamane, że rzeczywistość morska wchodzi na warsztat pisarski i ma swoich ambitnych zwolenników.

Salomon Łastik

1) „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951 r., str. 206.
2) Wydawnictwa Morskie, 1952 r., str. 304.
3) Wydawnictwa Morskie, 1951 r., str. 250.
4) Wydawnictwa Morskie, 1952 r., str. 375.
5) Wydawnictwa Morskie, 1950 r.

O WSPÓŁCZESNYCH ZADANIACH I METODZIE PISARSTWA FANTASTYCZNO-NAUKOWEGO

Ciąg dalszy ze str. 3-ej

dopodobne skutki tej przyszłej, wielkiej rewolucji przemysłowej? Nie ograniczając się do zniesienia pracy fizcznej, zmieni ona całkowicie kierunek rozwoju umysłowego.

Dotąd obserwowaliśmy nieustanny rozrost specjalizacji, jej dzielenie się na coraz to nowe gałęzie, co zdawało się stanowić groźbę dla czasów przyszłych — kiedy poszczególne fachy wymagać będą od poświęcających się im jednostek tak wiele pracy i staną się tak wąskie, że czasu nie starczy człowiekowi nie tylko dla ogarnięcia ogółu spraw światowych, ale nawet najbardziej podstawowych problemów, jeśli będą one wykraczać poza jego ciasną dziedzinę zawodową. Byłaby to możliwość wyrodzenia się społeczeństwa ludzkiego w „mrówcze", gdzie każdy osobnik wykonuje tylko znikomą cząstkę pracy, nie uświadamiając sobie potrzeb i celów całości.

Rozwój techniki pokazuje jednak, w jaki sposób ujdziemy temu niebezpieczeństwu: rosnąca specjalizacja spowoduje, na pewnym etapie, zniweczenie samej siebie. Stanie się to możliwe dlatego, ponieważ ludzie nie będą musieli grzęznąć w tysięcznych szczegółach i wyliczeniach faktów, nie będą zmuszeni całej niemal swej wiedzy zawodowej „nosić w głowie", ale dzięki nowym środkom wychowania i nauczania owładną tylko najważniejszymi, najbardziej centralnymi, istotnymi metodami, będą prowadzili dociekania szerokie, twórcze, stawiali sobie coraz to nowe zadania i rozwiązywali je tylko w sposób najogólniejszy, nie trwoniąc czasu ani wysiłku na żmudne „rozpracowania" — to będą za nich robić „myślące maszyny". Dzięki temu każdy doskonale bedzie ogarniał całokształt kluczowych zagadnień, stojących przed ludzkością.

To, co tu nieco może rozwlekle powiedziałem, odnajdujemy skondensowane do rysów najgłówniejszych w dziele Lenina „Państwo i Rewolucja": „w jak szybkim tempie rozwój ten (sił wytwórczych w komunizmie — St. L.) postępować będzie dalej, jak szybko dojdzie do zerwania z podziałem pracy, do usunięcia przeciwieństw między pracą umysłową a fizyczną, do przekształcenia pracy w „elementarną potrzebę życiową" — tego nie wiemy".

Lenin, stwierdzając, że dokładnie nie można określić tempa przemian, zachodzących w społeczeństwie komunistycznym, jednocześnie wylicza trzy podstawowe przemiany: zanik pracy fizycznej, zmianę stosunku człowieka do pracy oraz kres tego typu różniczkującej się specjalizacji, która płynie ze wzmagającej się złożoności naszych narzędzi wytwórczych i wiedzy o świecie. Żeby lepiej ocenić wagę tej zdumiewającej wprost przepowiedni Lenina, trzeba sobie uświadomić, że słowa te pisał w roku 1917, kiedy, poza kapitalizmem, nie była znana żadna nowa formacja społeczna. Najwybitniejsi nawet technologowie nie wyobrażali sobie wówczas, jak przebiegnie długookresowa tendencja rozwojowa środków technicznych. Lenin umiał dostrzec przyszłość — dzięki materializmowi historycznemu i olbrzymiej przenikliwości myśli.

III

Ograniczyłem się do dwu powyższych przykładów, które wskazują, jak pisarz postępuje, budując bazę materialną przyszłego społeczeństwa. Jak widzieliśmy, już w trakcie tej pracy uzyskuje frapujące materiały do budowy psychiki człowieka przyszłości. Nie zadowalając się jedną czy dwiema, pisarz winien takich długookresowych tendencyj znaleźć możliwie dużo. Każda pozwoli dokładniej obrysować jakiś szczegół przyszłej formacji.

W dalszym ciągu pisarz przystąpi do wyrozumowania najważniejszych zadań i dążeń, podstawowych tendencyj, teoryj, myśli, nurtujących przyszłą ludzkość. Wychodzić będzie, jakeśmy powiedzieli, z bazy materialnej, a więc zastanowi się nad tym, skąd ludzie będą czerpać zasoby surowców i środki energetyczne, co poczną, gdy wyczerpią się ich zapasy na Ziemi, jak zdobędą je na innych planetach, jaki wpływ może wywrzeć na społeczeństwo wielka próba podróży międzyplanetarnych, zwłaszcza kiedy z pojedynczych lotów zwiadowczych zmienią się one w zjawisko masowe, jakie będą przedsiębrane próby dla odkrycia i porozumienia z mieszkańcami układów planetarnych w innych, niż nasz, systemach słonecznych, itd. itd.

Rzecz oczywista, że wyliczając powyższe zagadnienia, zdaję sobie sprawę z tego, iż im bardziej oddalamy się od bazy materialnej (także w dużej mierze hipotetycznej), pośród tym większych poruszamy się dowolności. Ale nawet próbując opisu pozaziemskich istot żywych pisarz nie jest zdany wyłącznie na samą wyobraźnię, gdyż budowa tych stworów musi spełniać warunki, wynikające z pewnych ogólnych praw fizyko-chemicznych, i zgrzeszyłby przeciw nim ten, kto by chciał zaroić np. powierzchnię słońca „salamandrowymi" istotami z płomienia, żywiącymi się ogniem atomowym.

Postępując w sposób wyżej naszkicowany, pisarz stworzy sobie poważny „kapitał duchowy" przyszłej ludzkości, z którego będzie czerpać przy stwarzaniu swoich bohaterów. Każdy krok w takiej pracy najeżony jest wieloma zastrzeżeniami i trudnościami, których, oczywista, nie mogę tu nawet wyliczyć. Na każdym takim kroku jego niewiedza będzie na pewno większa od wiedzy, mimo to zawsze będzie miał do dyspozycji pewne, ogólne wytyczne postępowania. W dziedzinie np. rozwoju norm społecznych przyjdą mu z pomocą wypowiedzi Marksa w „Krytyce Programu Gotajskiego" (jest tam wspaniała analiza zmienności i względności norm prawnych w zależności od bazy ekonomiczno-społecznej), u Lenina w dziele już cytowanym, czy u Stalina (np. w Przemówieniu na naradzie stachanowców, w rozmowie z Emilem Ludwigiem i w. in.).

Należy jeszcze, jak sądzę, powiedzieć kilka słów o dalszym przebiegu pracy, która wchodzi w fazę indywidualizacji bohaterów i ich poczynań.

Są ludzie, którym wydaje się, że zanik konfliktów antagonistycznych zagraża samemu istnieniu literatury, że w społeczeństwie komunistycznym jest do pomyślenia tylko jeden typ konfliktu: pomiędzy człowiekiem i światem materialnym. Wydaje im się, że obraz przyszłego świata, będący rozwinięciem tej jedynej zasady — konfliktu, staje się jakiś ubogi, wąski w porównaniu z czasem dzisiejszym. Otóż, po pierwsze, trzeba lojalnie przyznać, że w bezklasowym społeczeństwie nie będzie ogromnej ilości istniejących dziś, często jakże tragicznych w skutkach konfliktów, ale jeśli ktoś może martwić się z tego powodu, że w przyszłości nie będzie takich „mocnych" obrazów, jak widok podpalonego przez najeźdźcę miasta, czy takich prób wytrzymałości charakterów, jak obóz koncentracyjny — to estecie owemu nie mogę nawet współczuć. Po drugie, jest prawdopodobne, że jakościowo nowe formy życia społecznego, zanik aparatu państwowego, setek powszechnych dziś zawodów — od robotnika fizycznego przez urzędnika, buchaltera, do wojskowego itd., stworzą mnóstwo takich problemów i konfliktów, których nie tylko nie umiemy sobie wyobrazić, ale które, pokazane nam przez jakiegoś „jasnowidza", byłyby dla nas całkowicie niezrozumiałe, bo byśmy nie znali długiego łańcucha przyczyn i skutków, jaki doprowadził do ich powstania. Jest to jeden z powodów, dla jakich wizja przyszłości, proponowana przez pisarza jego współczesnym, nie może być pełna ani w dziedzinie technicznej (nie może przecież przewidzieć wszystkich wynalazków), ani tym bardziej stosunków ludzkich (bo nie potrafi wywieść z przyszłej bazy materialnej wszystkich konsekwencyj. Wiemy, że rozpowszechnione w społeczeństwie prądy, idee, teorie wpływają z kolei na dalsze kształtowanie się bazy. Pisarz nie może przewidzieć tego gigantycznego procesu w całej jego złożoności). Ponadto pisarz musi dbać o prawdopodobieństwo, że je tak nazwę, „literackie" obrazu, to jest takie, o jakie historia nieraz wcale nie dba (proszę sobie wyobrazić, że hitleryzm powstał nie w rzeczywistości, a tylko na kartach powieści. Ciekawym, kto by uwierzył w obozy masowej zagłady!).

Po trzecie wreszcie, przy wszystkich powyższych zastrzeżeniach, w pracy nad powieścią pisarz napotyka nie niedobór, lecz nadmiar hipotez, zagadnień, konfliktów. Baza materialna w czasie konstruowania stwarza bowiem olbrzymie ilości jakościowo nowych problemów, których by starczyło dla dziesiątków powieści. Przy tym należy pamiętać, że gwarancje jej prawdziwości, rzetelności ukazanego tła, są stosunkowo poważne. Tylko zestrój wielu czynników, tylko oparcie się na możliwie dużej liczbie długookresowych tendencyj rozwojowych, podawanych przez autorytatywne źródła (i to „pierwszą ręką", a nie przez popularyzację!), zwiększa szanse na to, że książka poza walorami literackimi (o nich tu nie mówię), będzie zawierać też wartości poznawcze.

Co się tyczy losów ludzkich i perypetyj powieściowych, to, rzecz oczywista, otwiera się tu ocean możliwości. Czasem się słyszy, że powieść fantastyczno-naukowa będzie sprawdzona przez przyszły bieg wydarzeń. Zgoda, lecz w jaki sposób? Przecież nie wymagamy od powieści współczesnej, żeby jej wątek i wszystkie sprawy były wiernie „skopiowane z życia". Dobra książka ukazuje we właściwych proporcjach prądy, przemiany i dążenia epoki, i takiej właśnie, ale też tylko takiej zgodności z rzeczywistością (przyszłą) możemy żądać od powieści fantastyczno-naukowej. Czy zaś autor zechce pokazywać wypadki tylko przeciętne, typowe, czy niezwykłe, szczególne — to już jego rzecz, jeśli tylko uda mu się spełnić wszystkie nasze postulaty. Niech między stworzoną wizją a przyszłością taki bedzie stosunek, jak między monumentalną symfonią, wykonaną przez wielki zespół orkiestrowy, a jej zagwizdanym przelotnie motywem — niech pisarz

U PRZYJACIÓŁ

KRYTYKA UWIELOKROTNIONA

Sprawa jest zawsze aktualna. Wypływa na wszystkich zebraniach plenarnych Związku Literatów, na sekcjach twórczych, w dyskusjach kuluarowych — wszędzie tam, gdzie ośrodkiem zainteresowania stają się zagadnienia rozwoju naszej literatury jako całości.

I nie tylko literatury. W dyskusjach teatralnych, filmowych, plastycznych docieramy raz po raz do sedna zagadnienia precyzowanego później jako postulat, rzucanego jako hasło. Brzmi ono: więcej krytyki. Krytyki pojętej po marksistowsku — a więc bezkompromisowej, ale i twórczej, odważnej, ale rzeczowej i słusznej.

Wróćmy jednakże do literatury. Jakie są oznaki wskazujące na praktyczną umiejętność posługiwania się tylokrotnie zalecanym i wypróbowanym orężem krytyki?

Nikłe — co gorsza zaś, stopniowo coraz bardziej zamierające. Jednym z najbardziej widocznych objawów jest uporczywy, od dłuższego już czasu datujący się brak jakichkolwiek dyskusji na łamach naszych czasopism literackich. Nieliczne artykuły polemiczne z reguły padają w próżnię — poza jedną, dwiema odpowiedziami polemika nie wywiązuje się. Tu i ówdzie krytyk zaczepi krytyka, dowodząc nie bez pasji i przekonania oczywistych braków w postawie ideologicznej i kryteriach oceny artystycznej swego kolegi. Tu i ówdzie wobec jakichś, bardzo już wyraźnych odstępstw od norm marksistowskiego wartościowania dzieła literackiego ktoś komuś zmyje głowę.

I nic „I wszystko umilkło i cisza aż dziwi", jak powiada, przy zupełnie innej zresztą okazji, poeta.

„KSIĄŻKA, KTÓRA NAM SIĘ NIE PODOBA..."

Każde z literackich czasopism radzieckich poświęca wiele miejsca czytelnikowi. Daje mu prawo wypowiedzi w sprawie tak bardzo go obchodzącej — w sprawie książek, które przecież właśnie dla niego są przeznaczone.

Trzeba przyznać, że czytelnicy radzieccy umieją z tego prawa korzystać. Dobre książki otrzymują zasłużone i zawsze umotywowane pochwały. Złe — stają się obiektami bezkompromisowej, nieraz ostrzejszej niż oficjalna, krytyki.

W numerze 7-ym miesięcznika „Zwiezda" jedno z takich czytelniczych wystąpień zatytułowane jest niedwuznacznie: „Książka, która się nam nie spodobała". **Autorzy — A. Cariew — sekretarz biura komsomolskiego i S. Budrianowicz — kierownik biblioteki jednej ze szkół rzemieślniczych Leningradu tak formułują swój główny zarzut wobec** E. Permaka **autora powieści** „Drogocenna spuścizna".

„Autor źle zna życie szkół rzemieślniczych, i w tym leży główny błąd książki. Nie znając rzeczywistych trudności stojących przed nauczycielami i kierownikami naszych Szkół Przysposobienia Przemysłowego, nie znając należycie pracy, życia i zainteresowań uczniów — pisarz przedstawia nam zamiast rzeczywistych życiowych konfliktów fałszywe melodramaty".

W tym samym numerze ślusarz fabryki „Elektrosiła" N. Wasiliew omawiając dwie powieści o wychowankach Szkół Przysposobienia Przemysłowego „Towarzysz" I. Metteva i „Oni wchodzą w życie" **I. Nikulina poddaje je sumiennej i rzeczowej analizie, podkreślając swe poważne zastrzeżenia.**

Weźmy jakiekolwiek inne pismo. Wszędzie ujrzymy dowody bojowości tej formy krytyki, wszędzie czytelnik — odbiorca literatury, dopuszczany jest na równi z zawodowymi krytykami na łamy pism.

Czy taki stosunek pomaga pisarzowi, czy też krępuje go — jak dotychczas jeszcze szepczą tu i ówdzie u nas kawiarniani malkontenci? Fakty są dostatecznie oczywiste. Stanowią je nowe, poprawione i przerobione wydania powieści tak znanych i popularnych, zarówno w Związku Radzieckim jak i u nas, pisarzy, jak Aleksander Fadiejew i Walentin Katajew. „Młoda Gwardia" i „Za władzę Rad" zostały w swoim czasie ostro i sprawiedliwie skrytykowane. Czytelnicy zarzucili pisarzom (zwłaszcza Katajewowi) jednostronne, niepełne odzwierciedlenie bohaterskich obrazów walki narodu radzieckiego z hitlerowskim najeźdźcą. W odpowiedzi obaj uznali krytykę za słuszną i zobowiązali się ponownie opracować materiał powieściowy. W. Katajew pisał w liście do „Prawdy": „Obiecuję swoim czytelnikom gruntownie przerobić powieść. Uważam to za sprawę swego pisarskiego honoru".

W rezultacie obydwie przeróbki zostały zarówno przez zawodową jak i czytelniczą krytykę ocenione jako rzetelny dowód pisarskiego wysiłku, jako pełnowartościowe dzieła socjalistycznego realizmu.

Zapamiętajmy — masowość krytyki, głęboko pojętej i właściwie stosowanej, stanowi gwarancję właściwej oceny dzieła, stanowi nieoceniona pomoc dla pisarza, nieoceniony środek podniesienia jakości produkcji literackiej.

JAK LECZYĆ „CHOROBY WZROSTU"?

Nie bez przyczyny mówi się o „chorobach wzrostu" naszej współczesnej literatury. Istnieje szereg objawów wskazujących na nie dość głęboką ostrość politycznego widzenia niektórych pisarzy, nie dość wysoki stopień rozwoju ich świadomości ideowej — a co za tym idzie — nieumiejętność zastosowania właściwych środków artystycznych. Życie wciąż wyprzedza pisarzy. Literatura nasza jest literaturą młodą, rosnącą — i w miarę jej rozwoju twórcy uczą się dorastać do stawianych im zadań. Nie sami. Uczyć ich, dopomóc na tej drodze jest zadaniem krytyki literackiej. Nie wystarczy na to jedna, druga i dziesiąta normalna recenzja z oceny punktu wyjścia, dojścia i postulatami — recenzja zbyt niebezpiecznie, bo jednostronnie ostatnio upowszechnionego typu. Potrzeba także szerszych artykułów problemowych, naświetlających zagadnienia twórcze, na danym etapie najbardziej aktualne, oceniających krytycznie schorzenia i niedomogi większej ilości utworów, co pozwala na wykrycie korzeni błędów pisarskich. Literatura radziecka, choć daleko bardziej zaawansowana, odczuwa istniejącą potrzebę takich typów recenzji. Uwydatnił ją z całą ostrością znany artykuł w kwietniowej „Prawdzie" omawiający sytuację dramaturgii. Krytyk T. Trifonowa pisze na ten temat w cytowanym już lipcowym numerze „Zwiezdy" w artykule „Sprawa honoru i sławy".

„Te błędy i niedociągnięcia, które artykuł redakcyjny „Prawdy" wykazał w naszej dramaturgii i krytyce teatralnej — w wielu wypadkach odnoszą się również do prozy i poezji, a także krytyki literackiej. Zadania, które „Prawda" postawiła przed dramaturgami, stają przed całą radziecką literaturą".

Jakie to są błędy, jak je należy zwalczać, jak wyglądają zadania literatury — na te pytania poszukuje Trifonowa odpowiedzi w dalszym ciągu swego artykułu. Analizuje objawy schematyzmu, uwidaczniające się zwłaszcza w przedstawianiu niepełnych, psychologicznie nierozbudowanych postaci ludzkich. Uderza w mechaniczne pojmowanie typowości jako statystycznej przeciętności. Obnaża przykłady stosowania teorii „bezkonfliktowości" w prozie. Wreszcie zajmuje się nawet sprawami tak pozornie drugorzędnymi jak funkcje opisu krajobrazu w powieściach.

Wszystkie te rozważania oparte są na bogatym materiale dowodowym. Krytyka Trifonowej nigdy nie uderza w próżnię — „Daleko od Moskwy" **Ażajewa,** „Donbass" **Gorbatowa,** „Metalowcy" **Bylinowa,** „Nowy profil" **Beka i wiele innych utworów konkretyzuje i umacnia jej diagnozy.**

TOWARZYSZ BIESPAŁOW ODPOWIADA

Na łamach czasopism wszelkiego typu ukazują się często krytyczne wypowiedzi, obnażające te i owe braki czy niedociągnięcia w aparacie gospodarki naszego państwa. W myśl ustawy obowiązuje wówczas odnośną instytucję załatwienie sprawy i udzielanie zadowalających wyjaśnień. W Związku Radzieckim jest to reguła również na odcinku kulturalnym. U nas na odcinku życia kulturalnego zarówno prawo krytyki, jak ten kardynalny dowód jej respektowania obowiązuje jeszcze w stanowczo zbyt małym stopniu. Wielokrotnie istnieją podstawy do krytykowania działalności wielu działających na tym polu instytucji — podstawy, z których rzetelna krytyka wyrasta rzadko, a jeszcze rzadziej doczekuje się realnego oddźwięku. Różne są tego powody — sam objaw jednak nie jest zdrowy — to pewne. Pewne jest także, że i tu może być pouczający następujący przykład:

W „Litieraturnej Gazietie" z dnia 12.VIII. ukazał się w rubryce „W ślad za wystąpieniami „Lit. Gaz."**artykuł** N. Biespałowa, członka Komitetu do Spraw Sztuki przy Prezydium **Rady Ministrów ZSRR. Stanowił on odpowiedź na szereg wystąpień krytykujących pracę Komitetu, zamieszczonych poprzednio w piśmie. Najistotniejszym z nich był artykuł B.** Ławreniewa i N. Pogodina „Dramaturg i teatr" **wysuwający wobec władz kulturalnych cały szereg istotnych zarzutów i żądań. Chodziło o zezwolenie teatrom na zawieranie umów z dramaturgami, o wypuszczanie comiesięcznych zbiorów repertuarowych, wreszcie o ożywienie działalności praktycznie nieistniejącej Rady Artystycznej, powołanej do nadzorowania spraw sztuki. Na wszystkie te problemy N. Biespałow udzielił odpowiedzi szerokiej, ale zdaniem redakcji niezbyt wyczerpującej. Polemika trwa dalej.**

Takie wystąpienia nie są w prasie radzieckiej odosobnione. I one świadczą o właściwym zrozumieniu zagadnienia, któremu na imię pogłębianie i rozszerzanie zasobów kulturalnych narodu. Krytyka raz jeszcze wykazała swą skuteczność.

KRYTYKOWAĆ — ZNACZY WSKAZAĆ DROGĘ

Kwietniowy artykuł „Prawdy" stał się punktem zwrotnym w rozwoju radzieckiej dramaturgii.

Artykuł sierpniowy „W celu nowego rozkwitu radzieckiej sztuki filmowej" **(nr z dnia 28.VIII) przyniesie z pewnością nie mniej istotne skutki w dziedzinie filmu. Po sformułowaniach ogólnych — następuje szereg krytycznych ocen. Otrzymują je scenarzyści za słaby jakościowo i ilościowo poziom swej produkcji. Artykuł przytacza wiele historycznych, przełomowych dla narodu momentów, które mimo wielu prób nie znalazły jeszcze pełnego odbicia w filmie.**

„Prawda" krytykuje dalej schematyczność w realizacji fabuły filmowej, brak wyraźnego odbicia indywidualności reżyserskiej, zanik niektórych gatunków — jak na przykład ulubione przez ludzi radzieckich wesołe komedie filmowe. Artykuł zamykają postulaty pod adresem Ministerstwa i Rady Artystycznej, idące w kierunku zaostrzenia kontroli i wzmożenia opieki nad produkcją filmową, oraz Związku Pisarzy Radzieckich — żądające zacieśnienia współpracy literatów z filmowcami.

Mamy więc tu do czynienia z jeszcze jedną formą krytyki, dokonywanej niejako odgórnie, bądź w postaci artykułów redakcyjnych, bądź też wypowiedzi specjalistów i naukowców. Artykuły „Prawdy" — centralnego organu partyjnego, poświęcone są problemom najbardziej zasadniczym. „Litieraturnaja Gazieta" podobnie jak i miesięczniki dokonywuje systematycznych krytycznych analiz różnych gałęzi produkcji kulturalnej. Zupełnie niedawno mieliśmy możność czytania w niej artykułu Boriewa „Zagadnienia estetyki w „Woprosach Fiłozofii", ostro oceniającego dotychczasową działalność pisma **(nr z dnia 23.VIII).**

ZAMIAST WNIOSKÓW

Czy istnieje możliwość przejęcia wielu doświadczeń z bardzo pobieżnie scharakteryzowanych tutaj form działalności krytycznej radzieckich towarzyszy? Pytanie musi mieć charakter jedynie retoryczny. Rzeczą niewątpliwą jest konieczność czynienia tego świadomie a nie mechanicznie. Literatura radziecka znajduje się na daleko wyższym etapie swego rozwoju niż nasza. Tym bardziej podziwiać należy troskę, jaką otacza się jej rozwój. A podziwiać — nie znaczy bierńie kontemplować. Wnioski nasuwają się same.

Organizowanie szerokich dyskusji czytelniczych nad produkcją wydawniczą. Żądanie od czołowych przedstawicieli krytyki nie tylko bieżących jednorazowych ocen — ale i systematycznych prac uogólniających zarówno przejawy sukcesów jak i niedociągnięć. Śmiałe wystąpienia wobec wszystkich instancji aparatu kulturalnego tam gdzie dostrzega się jego niedociągnięcia i zapewnienie im właściwego oddźwięku.

Oto część warunków, bez których oręż krytyki należycie działać nie będzie.

Andrzej Drawicz

---

uchwyci trafnie jakiś ogólny zarys, niech odgadnie jakieś proporcje, niech ukaże główne tendencje — a będzie to już poważne osiągnięcie. Co się tyczy szczegółowych problemów konstrukcji bohaterów, powiem tylko kilka słów. Niezbędna jest w pracy wielka ostrożność. Wytyczne materializmu historycznego trzeba stosować tak, by nie popaść ani w jakiś „schematyzm przyszłościowy" (ludzie: sami aniołowaci uczeni, żują tylko pigułki, wszystko lata, albo na kółkach), nadmiernie nie „usocjologicznić" losów ludzkich ani też nie dać się „ponieść nieskończonym dowolnościom". Trzeba też pamiętać, że skala wzruszeń człowieka ewoluuje nieporównanie wolniej od intelektu — porównajmy chociażby życie emocjonalne Babilończyków czy Egipcjan, znane nam z pomników ich literatury, z naszym dzisiejszym życiem uczuciowym. Różnice są stosunkowo niewielkie. Te same podstawowe wzruszenia, różne tylko wywołujące je przyczyny i — czasem — sposób uzewnętrznienia. Ale miłość, przyjaźń, radość, cierpienie, tęsknota, nadzieja, smutek, wesołość, żal pozostaną i w dalekiej, najdalszej przyszłości. Tego możemy być pewni.

IV

Czym winien się kierować pisarz przy wyborze czasu akcji i jej centralnego problemu? Ogólnie można powiedzieć, że im dalszy w czasie wycinek życia obierze sobie dla akcji i powieści, tym i trudności napotka większe, i tym mniejsze będzie prawdopodobieństwo trafnej przepowiedni. Poza granicami jednego, czy dwu tysięcy lat wszelkie przepowiednie tracą cień nawet usprawiedliwienia w istniejących warunkach i stają się czystymi fikcjami. W tym ograniczonym lecz ogromnym obszarze czasu może się więc pisarz poruszać w poszukiwaniu tematu. Cóż może nim być?

Tu można by napisać bardzo wiele, dlatego ograniczę się do kilku zdań, które są wyrazem moich osobistych upodobań. Jest np. do pomyślenia zachodzący w przyszłości konflikt pomiędzy jednostką wybitną, bardzo utalentowaną oraz mniej zdolną, lecz o wielkich ambicjach twórczych.

Można by, przyznaję, napisać powieść, osnutą na takim konflikcie, nawet powieść psychologiczną, obrazującą cierpienia tego niezdolnego (zakładam, że rzecz dzieje się w czasie, kiedy ludzie nie kierują jeszcze własną ewolucją biologiczną i nie umieją „stwarzać" bardziej rozwiniętych form człowieka. To jest na razie poza granicami rozsądnych hipotez naukowych). Tego rodzaju książka wcale mnie nie pociąga. Problem jest nieistotny, zjawisko rzadkie, wieje z niego jakaś niesłychana jałowość. Mówiliśmy jednak wyżej, że można i o wyjątkach? Zgoda, także o wyjątkach, ale ogniskujących jakoś centralną problematykę swej epoki, może to tyczyć akcji — same wydarzenia mogą być niezwykłe — mogą być i ludzie, rzadcy, jak Newton i da Vinci, nietypowi, jak Demokryt i Marks. Jeśli zaś koniecznie ma być konflikt „negatywnej niewspółmierności", to niechże będzie między człowiekiem „zacofanym" a epoką. W tym wypadku bohater byłby przynajmniej jakoś „sam winien", a w cytowanym na początku przykładzie winne jest „ślepe fatum", „mojra", „los". Prawda że niektórzy pisarze lubili napotykać czołem taką „ślepą ścianę". Cóż z tego? Te „błądzenia", „wahania" i „ślepe uliczki" to raczej ślepe wyrostki literatury i dziwacznaż to teoria fotogeniczności artystycznej garbów psychicznych! Wiadomo, skąd pochodzi: z „wieczystej tragiczności losu ludzkiego". Tę ciężko metafizyczną koncepcję możemy spokojnie usunąć z tematyki przyszłościowych utworów — chyba im to nie zaszkodzi.

W tym miejscu omawiany problem — tematu — wiąże mi się z następnym, omówię więc oba łącznie. Chodzi o motywy pisarstwa fantastyczno-naukowego. Spośród mnogości przyszłych obrazów świata pisarz wybierze taki, który, jak zauważyłem na wstępie, jest najbliższy jemu i jego współczesnym. Najbliższy — w jaki sposób? Nie będzie, oczywiście, naginał tematyki czy problematyki przyszłości do teraźniejszości. Pod podobieństwem tego przyszłego okresu do naszego rozumiem nie naciągane analogie, nie napółbajkowe alegorie, nie szyte grubymi nićmi historie „kostiumowe", w których na tle niezwykłej scenerii rozgrywają się dzisiejsze sprawy, ale czasy tak pełne twórczego rozmachu i olbrzymich przemian, że można je nazwać „zakrętem historii" — jak właśnie dzisiejsze. Czy będą takie okresy? Nie będzie wojen, głodu, klęsk, spowodowanych przez wewnętrzne sprzeczności stosunków produkcji, ale mogą być i niewątpliwie nastaną czasy, w których zapadać będą postanowienia, decydujące o kształcie życia następnych pokoleń, czy to przy wytyczaniu nowych zadań ludzkości, czy w związku z konfliktem, niewspółmiernością między tymi nowymi zadaniami a środkami technicznymi i strukturą psychiczną, niedostatecznie jeszcze dojrzałymi. Jeżeli pisarz, konstruując cierpliwie bazę materialną komunizmu, napotka w jej rozwoju na jakieś ogniwo szczególnie bogate w sprzeczności, kiedy odmieniają się podstawowe środki produkcji, kiedy wyczerpują się jedne źródła myśli, a otwierają nowe, fascynując całe społeczeństwo gigantycznymi perspektywami — to myślę, że znalazł swój temat. Na tych wyżynach nie będą to „konflikty techniczne" ani nawet „konflikty z materialnym Wszechświatem" w ciasnym rozumieniu. Jeśli ktoś upodobał sobie taki termin, to może w nim zmieścić absolutnie wszystko, bo człowiek jest cząstką materii. Ale w ostatniej instancji te konflikty, problemy, czy jakkolwiek je nazwiemy — to wielkie motory działalności człowieka, a przecież o niego w gruncie rzeczy nam idzie! A powieść z przyszłych czasów pokaże, owszem, człowieka innego, niż dzisiejszy, ale mającego z nami tak wiele wspólnego: ukaże w syntetycznym skrócie długość i monumentalność przebytej drogi, ciągłość historycznego rozwoju, nieustające poszukiwania, dążenia, klęski, wzloty, upadki i triumfy w walce o opanowanie siebie i wszechświata gorejącej materii, w walce, w której powstaje i z wieku na wiek rośnie wielkość człowieka. I ją pragnie ukazać współczesnym pisarz, ją, a nie nowinki techniczno maszynowe, nie egzotykę, dziwności i strachy na innych planetach. To jest jedyna „wielka metafora", do jakiej należy dążyć.

Zresztą wydaje mi się, że to są rzeczy oczywiste. Nigdy w historii nie pracowaliśmy tak świadomie nad przyszłością i dla niej, jak teraz: nigdy nie wkładaliśmy w dzieło tyle miłości, wysiłku, trudu, wyrzeczeń — jakże więc nie myśleć o jego kształcie przyszłym? Prawda, że pisarz nie jest wszystko wiedzący — bo jakże mógłby nim być! — nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, w jaki konkretny sposób zostaną rozwiązane olbrzymie sprzeczności naszych czasów dzisiejszych. Nie potrafi wskazać roku, w którym na całej ziemi zapanuje pokój i współpraca ludów. Jego praca jest zarazem i mniej, i bardziej doniosła. Mniej, gdyż wiele problemów trapiących jego współczesnych nęka go również, i on nie umie doraźnie na nie odpowiedzieć. Bardziej — ponieważ ukazuje nie miraże, nie fikcyjne utopie, nie światy możliwe a nieprawdopodobne do zbudowania na Ziemi, ale, posuwając się śladami myśli wielkich ludzi, wypełniając ich precyzyjne formuły teoretyczne wyobraźnią, intuicją, krwią — w ostatecznym wyniku pracą swoją potwierdza to samo, co miliony jego współczesnych: wiarę w słuszność naszej sprawy, w nieodwracalność procesów historycznych, w ostateczne zwycięstwo komunizmu.

Stanisław Lem

Wszystkie cytaty z Lenina i Marksa z wyd. polskiego Dzieł Wybranych (Książka i Wiedza, Warszawa 1949).

Cytaty z rozmowy Stalina z Wellsem z wydania rosyjskiego (Stalin, Biesieda z ang. pisatielem G. D. Wellsom, 23 Jula 1934, Partizdat CK, 1937 r.).

LESZEK SIEMION

FSC czeka na biografa

Symbolem polskiego budownictwa jest Nowa Huta. Dla Lublina takim symbolem jest FSC im B Bieruta, fabryka, w której przebywa obecnie taśmę produkcyjną drugi tysiąc samochodów ciężarowych. Ale FSC to również dopiero „początek opowieści" o wielkim budownictwie Lubelszczyzny: o Kraśnickiej Fabryce Łożysk Kulkowych, o Bodaczowie i Poniatowej; o cementowni w Rejowcu i innych, mniejszych zakładach przemysłowych, na które rozdrobniona wieś lubelska czekała tyle dziesiątków lat.

Jest na Lubelszczyźnie 200 spółdzielni produkcyjnych, z których każda prawie może służyć za przykład walki klasowej, w najostrzejszych nawet, iście Kuśmierkowych przejawach — z pożarami, z groźbami i terrorem kułackim, itp reliktami zwiększającymi temperaturę zdarzeń. Jest w nich wreszcie rzecz największa — najtrudniejsza ze wszystkiego — człowiek uczy się wspólnej pracy i wspólnej troski, uczy się żyć w gromadzie.

Dwie wyższe uczelnie zorganizowane po wojnie w Lublinie kształcą dziś 6000 młodzieży, w lwiej części pochodzącej z lubelskich robotniczych lub chłopskich rodzin Sam znam studenta, który niedawno jeszcze był traktorzystą w POM-ie, znam także takiego, który dopiero w warunkach władzy ludowej nauczył się czytać i pisać. Dzisiaj obaj zdają egzaminy jako wzorowi studenci swej uczelni.

Można by o tym biegu Lubelszczyzny w przyszłość mówić długo, poprzestańmy jednak na tym, co powiedziano wyżej Kto zechce poznać jej osiągnięcia, odnajdzie je z łatwością i bez pomocy niżej podpisanego. Uważałem jednak za stosowne przytoczyć część momentów obrazujących rozwój Lubelszczyzny, by na ich tle omówić odbicie, jakie znajdują one w pracy twórczej lubelskich literatów, czyli tych funkcjonariuszy społecznych, od których żądamy artystycznej dokumentacji olbrzymiej inicjatywy mas pracujących, dokumentacji pomagającej wznosić wyższe piętra zaczętych już gmachów i kopać fundamenty pod następne wielkie inwestycje.

Patos tego postulatu jest tylko pozorny Rzeczywistość przerasta bowiem wszystko to co do tej pory nasza literatura w ogóle potrafiła powiedzieć na temat naszego budownictwa. Ale to właśnie powinno być tym goretszym dopingiem dla twórców, by tętno wielkiego budownictwa stało się ich własnym tętnem. Żądanie bezsprzecznie wielkie, ale przecież niemniej porywające niż same dokonujące się przemiany.

Tymczasem odbicia wielkich dni Lubelszczyzny w twórczości lubelskich literatów doszukać się trudno. Chlubnym wyjątkiem jest Zygmunt Mikulski, którego poezja w większości stara się oddać pilnie obserwowany rozwój Lubelszczyzny, choć również nie sięga do przykładów najwyraźniejszych, o których mówiłem wyżej.

Ponieważ w zamiarach piszącego nie leży omawianie specyfiki zalet lub ułomności utworów lubelskich literatów, sprawę tę pomijam Chodzi bowiem tylko o stwierdzenie, że Mikulski jako jedyny literat z lubelskiego środowiska odważnie podejmuje współczesną tematykę (Pomijam tutaj sporadyczne wystąpienia literackie członków Koła Młodych)

Z pozostałych 19-tu lubelskich literatów tylko dwóch jeszcze można wymienić jako biorących udział w bieżących sprawach przebudowy Lublina i Lubelszczyzny. Mianowicie: Maria Szczepowska z powodzeniem wystąpiła kilkakrotnie z reportażem, a J N Kłosowski opublikował nowelkę pt. „Meta", opartą na aktualnych procesach przekształcania się człowieka. Jednakże Szczepowska nie odważyła się jeszcze wkroczyć na teren zagadnień najważniejszych dla swego terenu, wykorzystując tematykę raczej peryferyjną. Nowelka Kłosowskiego również nie mogła zadowolić wymagań czytelnika, przede wszystkim ze względu na słabość literackiego opracowania Dodać trzeba, że te prace zostały „zorganizowane" przez redakcję lubelskiego „Sztandaru Ludu" z niemałym trudem.

Przy tym wszystkim nie można lubelskim literatom (poza nielicznymi) postawić zarzutu braku pisarskiej aktywności Wprost przeciwnie — rok bieżący przyniósł poważne ożywienie w pracy lubelskiego oddziału ZLP Prawie wszyscy jego członkowie albo złożyli już swe prace w wydawnictwach (opieram się na sprawozdaniu z pracy lubelskiego oddz ZLP — „Kamena" nr 1—2, 1952), lub też mają prace na ukończeniu. Ale przecież, jak dotąd, przodownik - murarz z ZOR, awansowany brygadzista z FSC, lub wczorajszy małorolny chłop, który w spółdzielni produkcyjnej znalazł nowy, lepszy byt, nie mogą doczekać się literackiej kroniki swej pracy Ci sami ludzie chętnie idą obejrzeć w teatrze „Trzy razy nie" albo „Kalinowy gaj" w przekładzie lubelskiej „Załogi Nr 1", z uznaniem traktują autorów i radzieckiego, i polskiego tekstu tych sztuk, ale przecież chcieliby zwrócić uwagę tych ostatnich również i na siebie

Wydaje mi się, że czas upomnieć się o to głośno. W zapowiedziach na przyszłość lubelscy literaci również czynią głęboki odwrót do tematu historycznego, w każdym razie niezwiązanego ze współczesnością, a już najmniej z Lubelszczyzną.

Tak się złożyło, że dwa oddziały ZLP — śląski i lubelski — prawie równocześnie wydały pierwsze numery swych czasopism. Oddział lubelski — warto podkreślić — zrobił to bodaj staranniej, dając swej „Kamenie" poważniejszą i bogatszą szatę graficzną. Ale przecież „Śląsk literacki" bez mała od pierwszej do ostatniej strony pokazuje życie własnego terenu, na co niemały wpływ miało zapewne oparcie się redakcji na względnie szerokim kręgu autorów młodych, pomiędzy którymi bodaj że są debiutanci W wyniku — otrzymaliśmy „Śląsk literacki" rzeczywiście powiązany z terenem i środowiskiem, oddający zdarzenia i problemy tego terenu.

Odwrotnie przedstawia się treść wznowionej „Kameny": przy bogatej publicystyce na tematy ogólne (imponująco poważnej), jej treść specyficzna, związana z Lublinem i Lubelszczyzną, sprowadza się do rozmiarów bardzo nikłych Braku tego nie wypełnia przecież, dobrze zresztą opracowana, miejscowa kronika kulturalna.

Oddział ZLP reprezentowany przez swego prezesa — Marię Bechczyc-Rudnicką, brak ten z powodzeniem wytłumaczył ożywioną pracą swych członków. Wydaje mi się, że sens całej sprawy leżał jednak w płaszczyźnie znacznie szerszej: przechodzącej w stan chroniczny braku uwagi literatów dla własnego terenu w każdym rodzaju literackiej twórczości.

Tymczasem Lublin przeżywa swe wielkie dni nieoczekiwanego rozwoju, dni wielkiej budowy. Choćby z tego też powodu nie może być traktowany jak głucha prowincja, w której nic się nie dzieje Lubliniacy z wielkich inwestycji 6-ciolatki pragną, by miejscowi literaci pomogli im w przekształcaniu własnej dzielnicy i mają do tego pełne prawo.

Leszek Siemion

Z życia Kół Młodych przy oddziałach Związku Literatów Polskich

Łódzkie Koło Młodych Pisarzy powstało w grudniu 1950 r. Zgrupowało ono piszącą młodzież literacką zorganizowaną przedtem w Klubie samorządowców „Przełom" i próbującą pierwszych kroków w literaturze. Liczyło ono ponad 25 członków, ale po weryfikacji i oczyszczeniu Koła z ludzi przypadkowych, stan Koła wynosi obecnie 19 członków (13 poetów i 6 prozaików). Przeważa młodzież pochodzenia inteligenckiego.

W nowym roku pracy zagadnienie powiązania Koła z młodzieżą robotniczą i wyszukiwanie początkujących pisarzy wśród tej młodzieży jest sprawą najważniejszą. Trzeba przyznać, że pracą Koła „na zewnątrz" słabo interesuje się (a powinien!) Zarząd Łódzki Związku Młodzieży Polskiej.

W Kole daje się odczuwać także dość duża rozpiętość wieku i wykształcenia, co odbija się przede wszystkim na jakości zebrań i dyskusji poświęconych zagadnieniom teoretycznym. Koło spotyka się jednakże z troskliwą opieką Oddziału Łódzkiego ZLP, na zebraniach stale bywają obecni literaci: Jan Koprowski, Jerzy Miller, Tadeusz Chróścielewski, Edward Szuster i inni; w zeszłym roku Sekcja Twórcza Poezji miała specjalne zebranie poświęcone twórczości młodych, członkowie Koła biorą udział w szkoleniu ideologicznym, zorganizowanym przez organizację partyjną przy ZLP, uczęszczają na sekcje twórcze związku, mają zapewnioną indywidualną pomoc ze strony literatów, trzech członków otrzymało w tym roku stypendia twórcze Zarz. Gł. ZLP.

Dlatego też Koło może poszczycić się sporymi sukcesami w swej pracy.

Przy aktywnej pomocy kuratorów — Jerzego Millera i Tadeusza Chróścielewskiego zorganizowano systematyczne wykłady z zakresu wersyfikacji dla poetów, urozmaicono zebrania, przyciągnięto kilku nowych ludzi, wśród których wybija się aktywnością dobrze zapowiadający się krytyk i poeta Jerzy Panasiewicz. Ze starszych członków Koła rozwijają się dobrze: Leszek Witczak, Andrzej Minakowski, Tadeusz Giegier, Edward Piekarski i Władysław Udalski.

Na przyszłość należy dążyć do wzmożenia kontaktu z łódzką prasą codzienną, radiem i [illegible] kulturalnymi. Koło ma plany współpracy z Kołami Młodych w innych ośrodkach. Wiosną tego roku odbył się w łódzkim Kole występ warszawskich kolegów, który poprzez wymianę doświadczeń i poglądów wpłynął na wzrost zainteresowania członków pracą koła, dlatego też na przyszłość łódzkie Koło będzie kontynuować tę formę współpracy.

W sprawie Puzyny

W związku z notatką „Z życia Kół Młodych przy oddziałach ZLP" (Nowa Kultura Nr 36(52), gdzie w części poświęconej Krakowowi znalazło się i moje nazwisko, donoszę z niejakim żalem, iż nigdy nie byłem członkiem Koła Młodych Krakowskiego Oddziału ZLP

Konstanty Puzyna

Z TYGODNIA

W KRAJU

DLA UCZCZENIA ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ WYBORÓW DO SEJMU

Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze" wykonując podjęte zobowiązanie dał ostatnio 14 koncertów masowych w ośrodkach przemysłowych (Katowice, Bytom, Zabrze, Gliwice, Sosnowiec, Nowa Huta, Częstochowa i in.). Na koncertach obecnych było dotychczas 113 tys. widzów.

DWIE BRYGADY ARTYSTYCZNE

które będą występować na scenach świetlic łódzkich zakładów pracy z programem nawiązującym do Programu Wyborczego Frontu Narodowego — wyłonił ostatnio zespół Państw. Teatru Nowego w Łodzi. Pierwsza z brygad wystawia wybrane sceny ze sztuki J. Warmińskiego „Zwycięstwo", druga — jednoaktową sztukę A. Maltza. Sceny z tych sztuk są łączone specjalnie opracowanym tekstem wiążącym.

WIELKĄ „BIBLIOGRAFIĘ MICKIEWICZOWSKĄ" W 4 TOMACH

sporządziło organizujące się w Warszawie Muzeum Mickiewicza i Słowackiego — wkrótce ukaże się ona na półkach księgarskich. Muzeum prowadzi również akcję fotografowania i opisywania naukowego wszystkich znajdujących się w kraju rękopisów obu poetów. Zbiory stale się powiększają o nowe eksponaty przekazywane z innych muzeów i nabywane od osób prywatnych. W muzeum zgromadzono już kilkanaście oryginalnych portretów i rzeźb, wiele rycin, dokumentów i pamiątek po obu poetach oraz cenne materiały dotyczące ich życia i twórczości.

W ROKU 1938 — OK. 10 MILIONÓW, W ROKU 1950 — 123 MILIONY WIDZÓW

przewinęło się przez kina w Polsce. Kin w r. 1947 mieliśmy 599, w r. 1950 — 1417, w ostatnim roku planu 6-letniego kraj nasz będzie pokrywać sieć ponad 3 tys. kin. Te i wiele innych wymownych cyfr oraz liczne plansze, wykresy i fotografie obrazują rozwój naszej kinematografii na otwartej niedawno w poznańskim Muzeum Narodowym wystawie pn. „8 lat kinematografii polskiej".

AUTOR „NASZEJ ULICY"

wybitny pisarz niemiecki J. Petersen przybył do Polski — na zaproszenie Związku Literatów Polskich. Poza „Naszą ulicą" w przekładzie polskim wydano m. in. tom nowel Petersena. Po 3-tygodniowym pobycie w Zakopanem pisarz zatrzyma się w Warszawie, gdzie zostanie zorganizowany jego wieczór autorski.

„PAMIĘTNIKI CHŁOPÓW" OŻYJĄ NA EKRANIE

Dzieje życia kilku odszukanych autorów wspomnień, które wydał w r. 1936 w zbiorze pamiętników chłopskich Instytut Gospodarstwa Społecznego — są tematem scenariusza nowego filmu dokumentarnego A. Munka. Autor scenariusza jest również realizatorem filmu.

OPERĘ „MŁODA GWARDIA"

radzieckiego kompozytora Mejtusa wystawi w bieżącym sezonie studium operowe w Gdańsku.

NIEZNANĄ DOTĄD W POLSCE KOMEDIĘ LWA TOŁSTOJA

„Owoce edukacji" przygotowuje Krakowski Teatr im. J. Słowackiego w reżyserii Wł. Krzemińskiego przy współpracy dramaturgicznej Jerzego Zagórskiego. Oprawę dekoracyjną przygotowuje prof. Karol Frycz.

ZA GRANICĄ

35 ROCZNICY WIELKIEGO PAŹDZIERNIKA

będzie poświęcona w br. doroczna jesienna wystawa plastyki w Leningradzie. Prace na tę wystawę przygotowuje ponad 500 leningradzkich malarzy, rzeźbiarzy i grafików.

WYBRANE UTWORY A. RADISZCZEWA

obszerną monografię oraz tom jego prac filozoficznych i społeczno-politycznych przygotowuje do druku Państw. Wyd. Literackie w związku z przypadającym w b.m. 150-leciem zgonu wielkiego pisarza.

Zespół Teatru Dramatycznego im. K. Marksa w Saratowie wystawi sztukę o Radiszczewie, napisaną przez W. Smirnowa - Uljanowskiego.

Ostatnio odnaleziono wiele nieznanych dotąd dokumentów dotyczących sprawy sądowej, wytoczonej Radiszczewowi w r. 1790 z polecenia Katarzyny II za wydanie książki „Podróż z Petersburga do Moskwy". Odnaleziony nakaz aresztowania pisarza, zawierający wskazówki, jak należy traktować go w więzieniu fortecznym — pozwala zorientować się w straszliwych warunkach, w jakich trzymano Radiszczewa w czasie śledztwa.

PONAD 20 NOWYCH GMACHÓW TEATRALNYCH

buduje się obecnie w ZSRR. Budowa Teatru Opery i Baletu na 1.200 miejsc w Kazaniu będzie ukończona w przyszłym roku. Wnętrza gmachu Teatru Dramatycznego w Pietrozawodzku ozdobi biały marmur i polerowany dąb. Na ukończeniu jest budowa Teatru Dramatycznego w Suchumi. Gmachy nowych teatrów wznoszone są również m. in. w Aszchabadzie, Frunze, Stalino, Kiszyniowie, Krasnodarze, Niżnim Tagilu, Zaporożu i Ułan-Ude. Ostatnio zatwierdzono projekty gmachów teatralnych w Kałudze, Połtawie, Czernihowie i Tarnopolu.

100 ROCZNICĘ UKAZANIA SIĘ PIERWSZEGO DZIEŁA LWA TOŁSTOJA

pt. „Historia mojego dzieciństwa" obchodzono ostatnio w ZSRR. Dzieło to weszło później do autobiograficznej trylogii Tołstoja pod nazwą „Dzieciństwo". W muzeum im. Tołstoja w Moskwie znajduje się 9 numer pisma „Sowriemiennik", w którym 18 września 1852 r. ukazała się ta powieść, podpisana inicjałami „L.N."

W ZSRR dzieła Tołstoja wydano już 1.318 razy w 73 językach w łącznym nakładzie 47.631.000 egz.

KRYSTYNA ŻYWULSKA

I N N Y

Co za ludzie, jaka mentalność! Wstyd naprawdę. Żeby w tak przełomowych czasach nie zdobyć się na jakieś szersze horyzonty, a wciąż tylko widzieć koniec swego nosa i nic więcej. Dlaczego ja jestem inny?

Oczywiście, że to musi zdenerwować, jeśli taki Bździkiewicz, który łaził jeszcze pod stołem kiedy moje nazwisko już było znane — dziś wydrapał sobie nagrodę. Bździkiewicz był kompletnym szczeniakiem, kiedy ja wchodziłem do Ziemiańskiej, a przy stolikach rozlegał się szmerek na mój widok. A teraz wszędzie Bździkiewicz i Bździkiewicz. Za to, że się umie podlizywać. Mnie nie idzie o to, żebym ja dostawał nagrody. Ja bym nawet nie chciał. Po co mają gadać bóg wie co. Tylko sam fakt, że taka miernota, taka kreatura... Ale to mnie w zasadzie zupełnie nie interesuje, wspominam o tym tylko nawiasowo. Nie obchodzi mnie, że ktoś coś dostał, albo czegoś nie dostał, że ktoś z kimś coś ma. Nie obchodzą mnie te rzeczy, bo są dla mnie zbyt małostkowe. Ja jestem inny.

Albo ta historia ze sztuką Punkiewicza. Przecież to na pewno zła sztuka, nawet wcale nie muszę czytać, żeby to wiedzieć. Wystarczy znać autora. A jednak komisja zatwierdziła. Dlaczego? Wiadomo. Bo żona brata Punkiewicza jest wysoką urzędniczką w ministerstwie. A on pewnie myśli, że ja o tym nie wiem. I żeby ta sztuka szła nawet 500 razy i miała ogromne powodzenie, nie zmieni to faktu, że żona jego brata tam pracuje! A poza tym, czy on kiedyś pisał? Skąd on do teatru? Z tym się trzeba urodzić. Jego miejsce jest w Centrali Rybnej. Ale ja wiem skąd się to wzięło. Po prostu żona brata mu coś opowiedziała; to znaczy, że skradł czyjś pomysł. Ja wcale nie twierdzę, że tak było na pewno, ale przyzna pan, że historia jest mocno podejrzana. A w ogóle to niech wystawiają tę jego sztukę, niech się Punkiewicz udławi tantiemami. Gdybym był zawistnym śledziennikiem, to co innego, to bym go obszczekiwał jak to robią jego zazdrośni koledzy. Ale ja mam poważniejsze sprawy na głowie. Ja zresztą — jestem inny.

I już we wtorek premiera! Ostatnio na pokazówce ja siedziałem w czternastym rzędzie z boku, a Rypski w piątym w środku. I co pan na to? Nie mówię wcale, że z mojego miejsca było źle widać, ale co spojrzałem na Rypskiego, to mnie krew zalewała. Z teatrem on ma tyle wspólnego, że pożyczył raz swoją starą parasolkę do rekwizytorni... To co z tego, że napisał tę rozprawę, gdyby do mnie się zwrócili, też bym napisał. Ale do mnie się nie zwrócili, bo się boją, że ja to lepiej zrobię, a wtedy Rypski przestanie zarabiać. A on przecież musi dużo zarabiać, bo ten rudy kociak, co wszędzie z nim łazi, na pewno chce mieć nowe futro. A Jadźka już trzeci rok w tych samych baranach chodzi i ma rację, że ja jestem fajtłapa. Przy urodzie Jadźki wytarte barany! To woła o pomstę do nieba! Jak mi znów przyślą do czternastego rzędu zaproszenie, to im zrobię taki kawał, że nie pójdę. Niech wiedzą, że mam swoją ambicję, że jestem inny.

Jeżeli pójdę to chyba tylko ze względu na Jadźkę. Mogłaby znowu być awantura. Tylko niech pan nie myśli; my z Jadźką jesteśmy świetnym małżeństwem. Raz jeden ją tylko złapałem z tym naczelnikiem Pampulskim. Ale mi to wszystko wytłumaczyła i każdy by ją rozgrzeszył. Musiała załatwić posadę dla mojej ciotki, którą ja utrzymywałem. Zrobiła więc to właściwie dla mnie. I faktycznie ciotka potem posadę dostała, a ten Pampulski wyleciał. Nie, Jadźka jest bardzo zaradna. Ona jest też zupełnie inna niż te wszystkie, które się naokoło spotyka.

Tylko, że ten Pampulski później awansował. Zauważył pan, że u nas jak ktoś się potknie to od razu awansuje? Ja siedzę pięć lat na jednym krześle i ani razu premii nie dostałem. A taki osioł, taki bęcwał będzie szedł w górę. I cienia honoru nie ma przecież w tym człowieku. Każdy po takim fakcie, jaki miał miejsce z Jadźką, zaproponowałby jej małżeństwo. Ja mu to wyraźnie powiedziałem i lojalnie podkreśliłem, jakie Jadźka ma zalety. To ten kretyn powiada, że tak poważnie to on nigdy nie myślał, a zresztą on ma przecież żonę i dzieci, z którymi nie zamierza się rozstawać.

A niech się nie rozstaje, niech się z nimi męczy do końca życia. Niech zostanie nawet dyrektorem departamentu. Mnie to wszystko nie interesuje. Już się i tak inni zatroszczą, żeby mu nogę podstawić, gdzie trzeba. A ja w ogóle nie lubię źle mówić o ludziach, nie jestem zawistny. Obszczekiwanie i rozróbki to nie dla mnie. Ja jestem inny.

A są tacy, wie pan, co lubią pod kim dołki kopać. Co za ludzie, jaka mentalność, wstyd naprawdę, żeby w tak przełomowych czasach nie zdobyć się na jakieś szersze horyzonty, a wciąż tylko widzieć koniec swojego nosa i nic więcej. Dlaczego ja umiem być inny?

Krystyna Żywulska

KORESPONDENCJA

JESZCZE W SPRAWIE WYSTAW WYCZÓŁKOWSKIEGO

W n-rze 37 „Nowej Kultury" w dziale „Korespondencja" prof. Tadeusz Dobrowolski polemizuje z recenzją moją z wystaw Wyczółkowskiego, a raczej z tą częścią recenzji, która dotyczyła wystawy krakowskiej. Przechodzę do porządku nad napastliwością tonu i niewybrednością wycieczek osobistych w replice Dobrowolskiego. Chodzi mi o samą sprawę, której służyła moja recenzja.

Zarzut „niezrozumienia" przeze mnie koncepcji wystawy krakowskiej jest chybiony. Zasadniczą bowiem treść mojej recenzji stanowi przeciwstawienie się właśnie takiej koncepcji wystawy retrospektywnej, że należy zilustrować cały przebieg działalności artysty, gdy w tej działalności obok arcydzieł powstawały rzeczy mało lub bezwartościowe. Żaden komentarz historyczny nie wynagrodzi tu szkody, jaką ponoszą widzowie — zwłaszcza ci, nie dość wyrobieni, którzy gotowi są gustować w miernotach. Zdaniem moim, rozpowszechniając na innej drodze, w dziełach historyków sztuki, pełniejszą wiedzę o przeszłości, winniśmy na wystawach eksponować to, co uznajemy w przeszłości za najlepsze: to co było postępowe w swoim czasie, to co trwale wartościowe, co może stać się oparciem i szkołą dla sztuki dzisiejszej. Z takiego to punktu widzenia selekcję materiału wystawowego na obu omawianych wystawach uznałam za niewystarczającą.

Organizatorzy wystawy krakowskiej nie udzielili szerszego miejsca grafice Wyczółkowskiego jakoby dlatego, aby nie „dublować wystaw" wobec równoczesnej wystawy w Bydgoszczy. Ale powinni oni wiedzieć, że znakomita grafika na tamtej wystawie pochodziła prawie wyłącznie z późniejszego okresu twórczości Wyczółkowskiego, z końca lat dwudziestych i z trzydziestych, natomiast grafiki z okresu krakowskiego Bydgoszcz posiada znikomo mało. Tak więc, jak napisałam w recenzji, co do stanu posiadania spuścizny Wyczółkowskiego Kraków i Bydgoszcz dopełniają się i dlatego wystawa krakowska powinna była wykorzystać zbiór graficzny krakowskiego Muzeum Narodowego, aby jak najpełniej zilustrować świetny okres krakowski grafiki tego artysty.

Z oceną twórczości Wyczółkowskiego dokonaną przez prof. Dobrowolskiego w jego wstępie do katalogu wystawy krakowskiej nie zgadzam się w paru dość ważnych punktach. Nie tu miejsce na polemikę w tej sprawie. Sądzę, że wkrótce będę miała możność dać wyraz w druku moim poglądom na działalność tego artysty, wielkiego, mimo nierównej wartości jego spuścizny.

Przy okazji prostuję błąd zecerski, jaki wkradł się do mojej recenzji: zamiast „ponad 800 proc. Wyczółkowskiego" powinno być „ponad 800 prac Wyczółkowskiego".

Maria Twarowska

ADAM BAHDAJ O KRYTYCE „TRZECIEGO TURNUSU"

W nr 36 „Nowej Kultury" ukazała się notatka pt. „Nie rób z siebie Wokulskiego", dotycząca mojej powieści drukowanej w „Expressie Wieczornym" W związku z tym pragnę wyjaśnić kilka spraw, gdyż uważam, że notatka ta jest dla mnie w dużej mierze krzywdząca.

Nieznający mojej powieści czytelnik z notatki tej może śmiało wywnioskować, że od pierwszego do ostatniego odcinka wychwalam mieszczański styl życia i „stare czasy", o których (według przytaczanego przez autora notatki „Jerwita" wycinka) jedna z postaci powieści Halina „dawno już zapomniała". „Jerwit" ze zjadliwością podchwytuje wyrwane z tekstu zdania, z których jasno wynikałoby że z łezką w oku wspominam o czasach przedwrześniowych, kiedy to „u Haliny co dzień zjawiał się posłaniec z kwiaciarni Cyklamen" Tego rodzaju przypuszczenia uważam nie tylko za złośliwość, ale za brak poczucia odpowiedzialności. Zwłaszcza że nawet mało spostrzegawczy czytelnik, nawet na podstawie tych wyrwanych z tekstu zdań, zrozumie, że w tym wypadku ironizuję i wyśmiewam tę tak perfidnie podchwyconą przez „Jerwita" „falę, która z dala lśniła barwną gamą wspomnień"

„Trzeci turnus" jest powieścią o wczasach pracowniczych Obok Haliny, która z taką tęsknotą wspomina „dawne, dobre czasy", występuje w niej jeszcze kilka innych postaci, jak np. Janek Kania, młody racjonalizator, który nawet na wczasach pracuje nad swoim pomysłem, jest przodownik pracy, murarz Wielgas, jest inżynier, który pomaga Jankowi w udoskonaleniu jego wynalazku racjonalizatorskiego. Tych postaci „Jerwit" nie zauważa i dlatego z taką nonszalancją stawia znak równości pomiędzy mną i Marczyńskim

Zdaję sobie doskonale sprawę z wszystkich wad drukowanej w „Expressie" powieści „Trzeci turnus" i dlatego sądzę, że gdyby mnie „Jerwit" skrytykował jak najostrzej, byłbym mu wdzięczny za pomoc w pracy pisarskiej. Protestuję jednak przeciwko takim wystąpieniom, jak notatka „Nie rób z siebie Wokulskiego". Nie trudno w kilku perfidnie powiązanych zdaniach zmieszać kogoś z błotem, zaś przypisywanie komuś adoracji dawnych czasów jest po prostu potwarzą. Cała metoda przypomina „dawne, przedwojenne czasy" i dawne zwyczaje: „raz pałką w łeb, niech już chłop nie zipnie"

Adam Bahdaj

O HIENIE PRZEZ „CH"

W związku z poświęceniem mi pół kolumny (31) numeru „Nowej Kultury", jako stary dziennikarz pozwalam sobie zwrócić uwagę adiustatora(rki), że nie należy lekkomyślnie poprawiać ortografii starych, doświadczonych pisarzy. Człowiek, który od 56 lat zarabia piórem, wie, że „hiena" z rodziny zwierząt drapieżnych (Hyaenidae) pisze się przez samo „h", a nie przez „ch" Jeżeli we fraszce „Żniwo" napisałem: „Rządź, Chieno", to dlatego, że „Chieną" nazywano „Chrześcijańską Jedność Narodową" — jeden z pseudonimów Narodowej Demokracji, wciąż uciekającej od swoich firm już skompromitowanych. W r. 1923 dorwała się ona po raz któryś tam do władzy pod tą właśnie nazwą. Poprawka mojej ortografii całą fraszkę pozbawia sensu Ostatnimi czasy zbyt często już dokucza pisarzom niewczesne mądrzenie się adiustatorów.

Mimo powyższych uwag, dziękuję gorąco Redakcji „Nowej Kultury" za przypomnienie Jej czytelnikom mojej skromnej osoby.

Benedykt Hertz

Przegląd prasy zagranicznej

Dwie książki o Vietnamie

O wojnie w Indochinach ogłoszone zostały ostatnio we Francji dwie publikacje. Autorem jednej z nich (Vietnam, socjologia wojny, ed. Du Seuil) jest Paul Mus, profesor College de France, który ogłosił liczne prace o buddyzmie, myśli hinduskiej itp. Profesor ten przebywał od roku 1945 do roku 1947 w Vietnamie; dowodem jego niezależnego spojrzenia na rozgrywające się tam wypadki był artykuł ogłoszony w „Temoignage Chretien", w którym zdaje on sprawę z krwawych zajść w Hajfong-Hanoi

Autorem drugiej książki (Historia Vietnamu od 1940 do 1952 roku, ed Du Seuil) — jest Philippe Devillers, również znakomity znawca spraw azjatyckich, dawny attaché prasowy u generała Leclerc i korespondent Monde'u w Indochinach.

Obaj ci autorzy zamierzyli dać dzieła obiektywne, ostrożne i jak najmniej ich angażujące Istotnie, Paul Mus zapuszcza się w zawiłe rozważania i drobiazgowe analizy nawet w tych przypadkach, gdzie narzuca się najprostsza ludzka i bezpośrednia ocena zjawisk Autor postawił jednak dwie ważkie tezy: Najpierw: Vietnamczycy tworzą naród ożywiony wolą niepodległości. Ruch oporu w tym narodzie związany jest nierozłącznie z Ho-Chi-minhem. I dalej: z punktu widzenia interesów francuskich popełniono dziesiątki błędów, polegających na stałym prześlepianiu rzeczywistości i nieufnym stosunku do Ho-Chi-minha, któremu zarzucano szerzenie ksenofobii i frankofobii, podczas gdy rewolucjoniści vietnamscy byli pod urokiem kultury francuskiej.

Wszystko to są rzeczy znane, ale prof. Mus zwraca się do swojego czytelnika, czytelnika stojącego na prawicy politycznej i przekonuje go, że droga, jaką wybrał, jest niesłuszna. I robi to z olbrzymią i drobiazgową erudycją.

W książce tej znaleźć można ciekawe rozważania na temat adaptacji marksizmu na terenie azjatyckim. Prof. Mus nie wyraża się co prawda jasno o zawarciu paktu między Francją i Vietnamem, ale rząd republiki demokratycznej uważa za prawowity rząd tego kraju. Pomimo wszystkich swych wad, to pełne wiedzy dzieło toruje drogę do prawdziwego oświetlenia sprawy Vietnamu we Francji.

Książka druga, „Historia Vietnamu od 1940 do 1952 roku", zawiera dokładny opis wydarzeń politycznych i dyplomatycznych, jakie zaszły w tym okresie. W pierwszej części znajdujemy obraz stosunków przedwojennych, z którego widać jasno, że do rewolucji dojść musiało na skutek stałego oporu lokalnych władz francuskich przeciw wszelkim projektom reform.

Książkę tę cechuje wielki umiar słowny, ale idea, jaką z niej można wyczytać, jest jasna: „Vietnam przyszłości budować będzie Ho-Chi-minh i jego ludzie. Nic trwałego i wielkiego nie powstanie bez nich, lub przeciw nim".

j. h.

Fryderyk Jarossy dramaturgiem

Jak pisze emigracyjny londyński „Orzeł Biały" — przedwojenny „producent" piosenek kabaretowych dla „Qui pro quo", Fryderyk Jarossy, zadebiutował w roli autora sztuki pt. „Do usług, Madame".

„...Treścią, zasadniczym wątkiem sztuki jest fakt wzięty częściowo z życia polsko-angielskiego — pisze recenzent. — Polski „butler", lokaj imieniem Kordian, z zawodu aktor Zdzisław Szczerbiec Cieszyński, pracując u angielskiego sędziego, przerabia jego żonę sekutnicę na dobrą kobietę i pozyskuje sobie jednocześnie miłość i rękę zamożnej a owdowiałej teściowej".

Treść tej sztuki „z życia polsko-angielskiego" — jak informuje prospekt — porusza jedną z najaktualniejszych „bolączek" londyńskiej emigracji. Forma jej — to swoisty „realizm krytyczny". Typowym jest bowiem w Londynie b pułkownik — „Kordian" czy „Szczerbiec", któremu w cichości kuchni restauracyjnej i przedpokojach marzą się kariery z rodzaju „pokojówka i milioner." Tytuł też odpowiedni, typowy „Do usług"...

Recenzent sztuki z „Orła" pisze wreszcie, że sztuka **„pozwala na... spędzenie zabawnego wieczoru", mimo pewnego „niedosytu artystycznego"**. I słusznie.

(skr.)

Drobna cłotka faszystowska

Leni Riefenstahl, głośna swego czasu gwiazda filmowa i sportowa, z którą Hitler cackał się demonstracyjnie na niesławnej pamięci olimpiadzie berlińskiej, została po różnych perypetiach przywrócona do łask w zachodnich Niemczech.

Donosi o tym satyryczne pismo szwajcarskie „Nebelspalter": „Leni mieszka znowu w swojej luksusowej willi pod Berlinem, wolno jej filmować i zarobkować. Świeżo przywrócona do łask gwiazda oświadcza każdemu, że uważała wprawdzie Führera za człowieka dowcipnego i zabawnego, ale nigdy, przenigdy nie podzielała jego poglądów. Wynikałoby z tego, że pani Riefenstahl nie odznacza się zbyt dobrą pamięcią. Istnieje bowiem zdjęcie, na którym Leni przybrana w paradny mundur oficera Wehrmachtu we wrześniu 1939 r. asystuje we wsi polskiej Końskie przy masakrze Żydów. Rozstrzelano wtedy trzydziestu Żydów, na zdjęciu widać kobiety i dzieci kopiące groby dla swoich ojców i mężów. Zapytana swego czasu w sądzie o to zdjęcie Leni Riefenstahl nie zaprzeczając jego autentyczności oświadczyła, że zaraz po dokonaniu zdjęcia poskarżyła się gen. Reichenau na „wybryki jego żołnierzy...""

(fr.)

„Neutralna" awantura

Z okazji narodowego święta szwajcarskiego, które wypada na dzień 1 sierpnia, wybuchł w helweckim światku wielki skandal. Sprawa wygląda w skrócie następująco:

Komitet obchodu święta narodowego postanowił, że głównym mówcą obchodowym w Zurychu będzie profesor historii na uniwersytecie zuryskim, Beck. Pan profesor biedził się długo i mozolnie nad swą oracją (Szwajcarzy nie są narodem mówców) W przeddzień święta zgłosił się do pana profesora jeden z współpracowników „Neue Zürcher Zeitung" z prośbą o tekst przemówienia, które pismo zamierza umieścić in extenso. Profesor Beck uczynił tej prośbie zadość. Kiedy w redakcji „Neue Zürcher Zeitung" zaczęto wgłębiać się w mądrości pana profesora, natrafiono na zdanie, że neutralność Szwajcarii jest wobec obecnej sytuacji światowej przeżytkiem i Szwajcaria powinna wyraźnie opowiedzieć się po stronie Ameryki.

Choć „Neue Zürcher Zeitung", organ wielkiego przemysłu i wielkiego kapitału, jest w zasadzie tego samego zdania, redakcja uderzyła na alarm pod pozorem, że takie oświadczenie na temat niepotrzebnej neutralności, złożone w dniu święta narodowego, mogłoby zaszkodzić interesowi kraju, który oczywiście „Neue Zürcher Zeitung" ma zawsze na oku.

Redaktor znalazł iście salomonowe wyjście: zamiast porozumieć się z prelegentem, poleciał do dyrektora departamentu oświaty (Erziehungsdirektor), szefa prof. Becka, zaklinając go, by wpłynął na usunięcie słów o neutralności. Dyrektor, nazwiskiem Vaterlaus, co przetłumaczone na język polski oznacza „wesz ojcowską", wezwał profesora i kazał mu po prostu niefortunne zdanie wyrzucić. Profesor w swym przemówieniu pominął milczeniem sprawę neutralności, ale wściekły na metody zastosowane przez „Neue Zürcher Zeitung" wypowiedział parę cierpkich i przejrzystych słów na temat „ciemnych sił" reprezentowanych przez pewne organy prasowe, finansowane przez wielki przemysł i wielki kapitał. Doprowadziło to „Neue Zürcher Zeitung" do wybuchu istnej furii. Interes państwowy, narodowy okazał się fikcją. I oto w jednym z numerów pisma pojawiła się notatka, że profesor Beck miał zamiar w swym przemówieniu zakwestionować neutralność Szwajcarii.

(fr.)

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro tel. 4-01-80 wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23 Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12 tel. 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa"
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12 tel. 804-20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.— Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/111, tel. 7-38-05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-17455